

Andre Frossard

Człowiek i jego pytania

Wydawnictwo "Jedność"

Kielce 1994

Słowo wstępne

Przeciętny wiek uczniów szkół maturalnych, których wypowiedzi dały początek tej książce, to okres wielkich wzruszeń, określonych jako sentymentalne. Nie brak nam o nich informacji w środkach przekazu. Jest to także czas, w którym duch, nie skrepowany jeszcze obowiązkami i odpowiedzialnością wynikającą z życia społecznego, pyta o samego siebie i o sens egzystencji. A czyni to z

przenikliwością, jaką wkrótce przytępią troski i niepokoje codziennego życia. W książce "Bóg i ludzkie pytania" autor dał na zaniepokojenie tego metafizycznego wieku odpowiedzi zaczerpnięte z wiary. Tutaj okazuje się on nieco bardziej przyziemny. Z myślą o uczniach, którzy zaszczycili go swoimi pytaniami, usiłuje on wyprowadzić moralną naukę ze swego długiego i niekiedy okrutnego doświadczenia świata. Nauka ta zaś opiera się na dwóch słowach: kochać lub nie kochać.

Andre Frossard

Kim jest człowiek?

To "zwierzę, które potrafi się uczyć" - mówi nam profesor Jakub, "które jest zdolne do tworzenia" - mówi nam profesor Bernard. Dla Nietschego "człowiek to choroba człowieka". Dla Jean Paul Sartre'a - to "daremna żądza". Według profesora Debray-Ritzena człowiek to małpa, która usiłuje wyzwolić się z siebie. Propozycja bardzo zadowalająca, jeśli się nie chce schodzić do coraz dalszych przodków aż do bezkręgowca. Dla judeochrześcijan człowiek to istota stworzona na podobieństwo Boga, który nie jest podobny do niczego, co znamy. Starożytni dostrzegali w człowieku "zwierzę rozumne" lub "polityczne", zaś Pascal na jednej z kart swoich, wspaniałych zresztą, poezji opisuje człowieka jako istotę kruchą, która jednak "wie, że umrze" i dzięki temu góruje nad nawałnicą nieświadomych mocy wszechświata itd.

Ta mnogość opinii wskazuje na to, że nie ma odpowiedzi na postawione pytanie.

A jednak człowiek stawia sobie pytanie odnośnie do samego siebie. Nie czyni zaś tego żadne inne zwierzę.

Nie można człowieka definiować przy pomocy takiego czy innego z jego uzdolnień, nawet poprzez jego zdolność do rozumowania. Jakiś schemat rozumowania tkwi przecież nawet w głowie lisa, czatującego przed kurnikiem. Nie można też czerpać argumentów z jakiegoś podobieństwa człowieka do szympansa. Refleksje Nietschego i Jean Paul Sartre'a to mroczne paradoksy literatów, będące wynikiem bezowocnego poszukiwania w głębiach ludzkiej natury. Nie zasługują one na to, aby się nad nimi zatrzymywać, chyba tylko w tym celu, by jaśniej dojrzeć trudność problemu. Liryka Pascala jest zapewne najpiękniejszą i najmocniejszą stronicą, jaka kiedykolwiek została zapisana na temat patetycznego charakteru ludzkiego losu, nie zawiera ona jednak sformułowania definicji. Nauki przyrodnicze popadają w coraz głębszą niepewność wskutek dokonującego się w nich z dnia na dzień postępu w zakresie biologii, neurologii i genetyki. Do Biblii należeć będzie dzisiaj ostatnie słowo, tak jak należało do niej pierwsze; mówi ona, że człowiek - mężczyzna i kobieta - został stworzony przez Boga "na Jego obraz i podobieństwo". Otóż Bóg nie jest ani widzialny, ani zrozumiały w sposób, w jaki nasza inteligencja mogłaby Go opisać i zasymilować, ów "obraz" i owo "podobieństwo" odnoszą się do bytu, o którym my wiemy tylko tyle, ile On sam zechce nam o sobie powiedzieć. Wskutek tego i w nas, i w Nim istnieje jakaś część nieznaną, która prawdopodobnie jest najlepsza. Można więc

ostatecznie powiedzieć, że człowiek, podobnie jak Bóg, jest dla człowieka tajemnicą.

Wszystkie błędy i wszystkie ideologiczne szaleństwa polegały zawsze na tym, że negowano tę część tajemnicy albo usiłowano ją zniweczyć.

Małpa?

"Człowiek pochodzi od małpy": ta rewelacja naturalisty Hegla, który żył w XIX wieku, była niekiedy podawana w wątpliwość, choć nigdy nie została odrzucona. Najnowsza biologia wydaje się ją potwierdzać. Zachodzi zaledwie różnica jednego chromosomu między człowiekiem i szympansem.

A jednak wystarczy także różnica jednej cyfry, aby na loterii wygrać lub przegrać.

Myśl o tym, że człowiek wyszedł z rąk Stwórcy, była wielce niesympatyczna dla naturalistów XIX wieku. Przyjmując rodowód człowieka od małpy, mogli się oni spodziewać, że schodząc z gałęzi na gałąź, dojdą od małpy do ryby, potem do pierwotniaka, w końcu - do cząstek elementarnych, odwołując się przy tym jedynie do magii naturalnej ewolucji, a więc do teorii natchnionej mieszczańską troską, aby nikomu nie być nic dłużnym.

Idea aktu stwórczego domaga się tylko jednego cudu, natomiast teoria ewolucji zakłada przynajmniej jeden cud na sekundę, poczynając od momentu wrzenia cząstek początkowych. Trudność ta jednak nigdy nie zniechęciła następców Hegla ani małp, które trwają w pogotowiu, aby przedłużyć nasze istnienie. A nam niekiedy przychodzi do głowy myśl, że małpy byłyby skłonne zaprosić nas ponownie do działania.

Czy jesteśmy niewiele warci?

Przez całe wieki człowiek wyobrażał sobie, że znajduje się jednocześnie w centrum i na szczycie wszechświata, który został stworzony dla niego. Owa "geocentryczna" koncepcja świata przyznawała ludzkości nadmierne znaczenie, które jednak zostało sprowadzone do właściwej miary dzięki odkryciom Kopernika i Galileusza: Ziemia jest jedynie kropelką w oceanie gwiazd, a człowiek niezauważalnym drganiem na powierzchni tej kropelki. "Robakiem na skórcie sera", jak powiedział pewien poeta. Co więcej, jest wysoce prawdopodobne, że w niezmierzonej przestrzeni nieba istnieją planety ukształtowane wcześniej niż nasza i zamieszkałe przez istoty nieskończenie bardziej rozwinięte od nas.

Astronomia Galileusza i współczesna astrofizyka wyznaczyły nam właściwe miejsce i ściśle określiły naszą wielkość.

A jednak to "prawie nic" jest jedyną żywą świadomością w całym znanym wszechświecie.

Sprowadzanie człowieka do jego wymiarów fizycznych jest równie absurdalne, jak traktowanie "Requiem" Mozarta jedynie w kategoriach decybeli. Podobnym absurdem byłoby pogardzać "Koronczarką" (La Dentelliere) Vermeera tylko dlatego, że nie jest ona widoczna z Księżycą.

Od czasów Pascala trzeba by wiedzieć, że człowiek zajmuje miejsce pośrednie między czymś nieskończenie wielkim i nieskończenie małym. Jeśli jego fizyczne wymiary, oceniane z daleka, są bez znaczenia, jego duchowy ogrom przerasta wszelkie wyobrażalne przedmioty obserwacji.

Skąd pochodzimy?

Temat ten był już omawiany w książce "Bóg i ludzkie pytania". Nie zaszkodzi jednak podjąć go tu na nowo. Pochodzimy z jakiejś początkowej eksplozji, z wielkiego "big-bangu", który jest początkiem wszechświata. Chociaż od pewnego czasu teoria ta jest podważana, może ona przytoczyć szereg dowodów na swoje poparcie. Jest ona nawet przyjmowana przez Kościół, który upatruje w niej niektóre momenty wspólne ze swoją własną nauką o Stworzeniu.

A jednak "big-bang" wysadza w powietrze także logikę. Bo jeżeli w pewnym momencie wszystko było skupione w jednym punkcie, to punkt ten był wszędzie i nie mógł nigdzie eksplodować.

Teoria "big-bangu" jest materialistycznym tłumaczeniem wszechświata, które nie jest w stanie wyjaśnić pojawienia się ludzkiej świadomości. To jest tak, jakby ktoś usiłował tłumaczyć powstanie pierwszego samochodu, odwołując się do wybuchu sprężonej pary benzyny. Trzeba by jeszcze wyjaśnić, jak to samochód stworzył kierowcę.

Czy człowiek jest dobry?

Jean Jacques Rousseau dowodził, że człowiek jest z natury dobry i że to dopiero społeczeństwo go psuje. Wynaturzają go również instytucje polityczne, zmuszając go bądź do hipokryzji, bądź do buntu, a więc do kłamstwa i przemocy. Życie bardziej zgodne z naturą ukazywałoby jego dobroć, a zdrowe instytucje polityczne, wolne od ograniczeń, służyłyby uwydatnieniu dobroci, a nie jej tłumieniu. Religia, a zwłaszcza nauka o grzechu pierworodnym, wpoila ludziom przeświadczenie, że ich natura jest skażona, a wszelkie prawo zmierza jedynie do ich korygowania. Zgubność tej nauki tkwi w tym, że przymus rodzi zwykle lęk i bunt.

A jednak, gdyby człowiek był dobry z natury, wystarczyłoby wyzwolić wszystkie jego instynkty, aby go uczynić doskonałym. Tego zaś nikt nigdy nie odważył się twierdzić.

Jak zwykle Jean Jacques Rousseau ma rację tylko po części. Człowiek nie jest ani dobry, ani zły "z natury". Jest on po prostu "z natury" podatny na dobro albo na zło. Przekonywać go, że jest zepsuty jedynie przez społeczeństwo, jeśli rzeczywiście jest, to odbierać mu prawidłowy użytek z sumienia i pomniejszać go, zamiast dopomagać mu do wzrostu.

Jeśli chodzi o judeochrześcijańską naukę o grzechu, to budzi ona podziw, ponieważ przyznanie się do winy prowadzi do przebaczenia, które ma swoje źródło w przedziwnym nadmiarze Bożej miłości.

Materia i duch?

Materia jest dotykalną rzeczywistością, której istnienia nie trzeba udowadniać. Całe nasze otoczenie jest materialne, podobnie jak my sami. Jesteśmy produktem chemicznych cząstek, których natura jest nam doskonale znana.

Co się tyczy "ducha", jest to hasło wywoławcze służące do oznaczenia rezultatu pewnych działań mózgu, podobnie jak "muzyką" nazywamy to, co jest wynikiem wprawiania w ruch instrumentu strunowego lub pneumatycznego. O ludzkiej istocie nie można twierdzić, że jest zbudowana "z materii i ducha", tak jak nie można mówić o akordeonie, iż jego częściami składowymi są miech z klawiszami i wykonywany na nim walczyk.

Dawny dualizm materii i ducha wyszedł już obecnie z obiegu. Duch nie jest niczym więcej, jak subtelną formą egzystencji materii.

A jednak, jeśli zastanowimy się nad programem genetycznym ludzkiej istoty, równie dobrze możemy powiedzieć, że materia nie jest niczym innym, jak ociążałą formą egzystencji ducha.

W rzeczy samej materia jest w sobie nieuchwytna, umyka ona nie tylko naszej władzy i obserwacji, ale i rozumowaniu, tak że bez popadania w paradoks można by twierdzić, iż w przyrodzie wszystko jest materialne, z wyjątkiem samej materii.

I na odwrót, również duch nie pozwala się uchwycić. Nikt nigdy nie zauważył, aby duch objawiał się niezależnie od ciała. Wyjątek dopuszczają adepci spirytyzmu, którzy za jedyny środek wyrazu ducha uważają nogę stołu.

Znajdujemy się w ten sposób między dwiema absolutnymi tajemnicami. Z jednej strony jest materia, jawiąca się z codzienną oczywistością, z drugiej zaś duch, którego istnienia nie można lepiej udowodnić, jak tylko go zaprzeczając.

Niegdyś te dwa przeciwstawne sobie wyzwania rzucone ludzkiemu umysłowi wzbudzały u ludzi uczucia przeradzające się we wspaniałą cnotę pokory. To dzięki niej dokonują się wszelkie odkrycia.

Człowiek prehistoryczny?

Znamienne są malowidła ściennie: myślenie religijne człowieka prehistorycznego miało charakter przedrozumowy. Zwierzęta malowane na ścianach jaskiń można pojmować jako symboliczne ofiary składane bóstwom. Mamy naturalnie mało elementów pozwalających na wytworzenie sobie pojęcia wierzeń owej odległej epoki. Jednakże dokumenty pochodzące z nieco bliższych nam okresów (napisy, figurki itp.) jasno wykazują, że człowiek pierwotny był głęboko religijny i zamiłowany w składaniu obrzędowych ofiar.

A jednak bizona Lascaux są w ruchu, a to nie zgadza się z przytoczonymi przed chwilą wywodami.

Istnieje u archeologów i antropologów skłonność dopatrywania się wszędzie elementów religii. Najmniejsza figurka z terakoty lub drzewa jest w ich oczach bożkiem lub przedmiotem kultu. Nie przychodzi im do głowy, że także ludzie pierwotni mogli obdarowywać lalkami swoje dzieci. Gdyby archeologowie roku 20000 odkryli wnętrze mieszkania w jakimś mieście, które w roku 1900 legło w gruzach w wyniku kataklizmu, to znajdujący się w salonie kominek byłby dla nich z pewnością rodzinnym ołtarzem, na którym płonął święty ogień; kandelabry stałyby się lichtarzami podtrzymującymi świece przebłagalne, zaś figurki z brązu zdobiące ścienny zegar byłyby to bóstwa domowe, patronujące wydzwanianym przez tenże zegar godzinom oficjów. Nie dowiemy się niczego ciekawego o człowieku prehistorycznym, dopóki archeologowie i antropolodzy nie wyleczą się ze swoich religijnych natręctw.

Jak na razie, oceniając malowidła i rysunki owego nieznanego pradziada, możemy powiedzieć tylko tyle, że odznaczał się on wielką bystrością obserwacji, delikatnością, szczerym ukochaniem przyrody, ogromną wrażliwością i wieloma zaletami, których zanik wykazuje wiele współczesnych dzieł sztuki i literatury.

Dlaczego istnieje zło na ziemi?

Nie ma całościowej odpowiedzi na ten problem. Istnieją cztery rodzaje zła: zło naturalne, zło fizyczne, zło przypadkowe, tj. nieszczęście, i zło moralne. Najtrudniejsze do wyjaśnienia z

religijnej perspektywy jest zło naturalne (o trzech pozostałych rodzajach zła będzie mowa w dalszych rozdziałach tej książki). Zło naturalne obejmuje różne klęski geologiczne, atmosferyczne, względnie kosmiczne. Są one dowodem na to, że idea Boga jest fałszywa. Zostało przecież napisane w pierwszym rozdziale Biblii: "Bóg widział, że Jego stworzenie było dobre, a nawet bardzo dobre". Okazuje się, że tak nie jest. Wybuchy wulkaniczne, powodzie, niszczycielskie ruchy ziemi, będące przyczyną ludzkich cierpień, to wystarczające dowody, że stworzenie jest złe.

A jednak, jeżeli w Księdze Rodzaju Bóg rzeczywiście stwierdza, że Jego stworzenie jest dobre, to nigdzie nie mówi On, że stworzenie jest doskonałe.

Chociaż na pozór drogi rozumowania ateisty i człowieka wierzącego biegną w przeciwnych kierunkach, w rzeczywistości są zbieżne.

Według ateisty, powolne kształtowanie się wszechświata, rozpoczęte w momencie pierwotnego "big-bangu", nie może się rzeczywiście dokonywać bez zakłóceń, niejednostajności rozwoju, zawirowań i strat.

Według człowieka wierzącego, stan doskonałości panował w ogrodach Edenu, ale nie rozciągał się na resztę świata, którą Adam miał wziąć w posiadanie, aby nad nią panować i ją udoskonalać. Otóż grzech pierworodny uniemożliwił mu spełnienie tego posłannictwa.

Zgodnie z obiema hipotezami Stworzenie nie jest ukończone. I sytuacja ta niczego nie dowodzi - ani na rzecz Boga, ani przeciw Niemu.

Miłość fizyczna?

Mówiliśmy dużo o miłości w książce "Bóg i ludzkie pytania", w której wszystkie bez wyjątku odpowiedzi czerpały natchnienie ze słów Jana Ewangelisty: "Bóg jest miłością" (1 J 4, 16). Nie było tam jednak mowy na oklepany temat miłości fizycznej. Tutaj też poświęcimy mu tylko kilka wierszy. Mamy tu do czynienia z banalnym zjawiskiem przyciągania, które się powtarza od atomu do galaktyki. Wystarczy zaobserwować wdzięk ruchów przechadzającej się młodej kobiety, aby wyrobić sobie jakąś już naukową ideę powszechnego przyciągania. Stosunek cielesny jest banalną czynnością, kierowaną jedynie prawem pożądania i zaspokojenia. I jest rzeczą zupełnie zbyteczną poddawać ją zasadom jakiegoś złudnego systemu moralnego lub duchowego.

A jednak sama miłość fizyczna ma także swoją moralność, zwłaszcza gdy jest jej pozbawiona.

Nic nie jest bardziej niebezpieczne, jak rozstawanie się ze swą duszą, aby oddać się czysto fizycznej przyjemności. Wcześniej czy później człowiek się przekona, że jeśli "wszelkie szczęście, którego ręka nie dotyka, jest tylko snem", także to, którego tą ręką dosięga, okazuje się pyłem.

Seks?

Seks kojarzy się z narządami płciowymi, służącymi do reprodukcji i do osiągnięcia przyjemności. Właściwie słuszniej byłoby przestawić użyte tutaj terminy i umieścić przyjemność przed reprodukcją. Bo to nie zadowolenie płynące z przekazywania życia zapewnia przyjemność, ale przyjemność cielesnego współżycia sprzyja przedłużaniu ludzkiego gatunku. Nie może być rozmnażania bez przyjemności, ale można osiągnąć przyjemność bez rozmnażania. Ten ostatni moment jest bardzo ważny. Wiele religii popełniło w tej dziedzinie błąd, i to do tego stopnia, że seks był w ciągu wieków uwikłany w wielorakie tabu, które obecnie zostały całkowicie zniesione. Jest wszakże jeden wyjątek: mianowicie kazirodztwo, niemal powszechnie jeszcze potępiane. Jeśli pogaństwo niesłusznie otaczało przesadnym uwielbieniem narządy służące do spełniania jednej z

najbardziej naturalnych funkcji, to błąd chrześcijaństwa polegał na tym, że cielesne zadowolenie uważało za grzech, a nawet utożsamiało z nim grzech w najściślejszym sensie, jakim był grzech pierwotny. Jest to równoznaczne z potępieniem samego pragnienia.

W naszych czasach płeć uważa się za podstawowy atrybut człowieka, ponieważ - jest to jedyny przypadek wśród zwierząt - wyprzedza ona człowieka we wszystkich jego przedsięwzięciach.

Zagadnienie płci spowodowało pojawienie się nieprzeliczonego szeregu seksuologów. Śledzą oni jej przejawy z zainteresowaniem czysto naukowym, przywracając jej wreszcie należne pierwsze miejsce i zdejmując z niej wszelkie piętno moralnej winy.

A jednak seks nie jest niewinny

Kiedy ludzie odwracają wzrok od nieba, aby go skierować na ziemię, pierwszą rzeczą, jaką dostrzegają, jest ich seks. Chętnie czynią z niego małe zastępcze bóstwo, które nosi w sobie pozorny sekret życia i zamiast wieczności obiecuje namiastkę w formie swoistej trwałości biologicznej. To mniej lub więcej świadome bałwochwalstwo należy dzisiaj do najbardziej rozpowszechnionych. Seks zajmuje coraz więcej miejsca w literaturze, filmie, a zwłaszcza w telewizji, gdzie kryje się pod lekką zasłoną socjologii, psychoanalizy lub statystyki. Obok filmów z obowiązującą sekwencją publicznie dokonywanego stosunku nie ma prawie programu telewizyjnego, w którym by brakowało dyskusji nad sposobami udanego lub nieudanego współżycia seksualnego. Nieszczęśni uczestnicy tych programów nie zdają sobie sprawy z tego, że wścibska kamera, łączywie filmująca ich brodawki lub ich dziurki w nosie, mniej podnieca do swawolnych marzeń niż do ponurych rozmyślań nad czaszką Yoricka.

Trzeba ponadto stwierdzić, że bożyszcze seksu jest podatne na spadek żywotności i że środki służące do jego podniecenia są takie same we wszystkich epokach moralnej dekadencji: stręczycielstwo, sadyzm, masochizm albo połączenie obu zbroczeń, gwałt, okrucieństwo lub owa dwupłciowość, kiedy osobnik nie wie, czy jest samcem czy samicą. Starożytni, zanim się pograżyli w obrzydliwościach epoki upadku, mieli poczucie wstydu, nie podyktowane bynajmniej przesądem czy religijnym lękiem. Zrozumieli bowiem lub odgadnęli to, o czym wkrótce na własny koszt miał się przekonać współczesny świat, że narządy służące życiu, jeśli się człowiek nimi popisuje z pogwałceniem ich tajemniczego powiązania z sercem i duszą, równie dobrze mogą pociągać ku śmierci.

Czy AIDS jest karą niebios?

Niektórzy zacofani moralisci chcieliby, abyśmy w to uwierzyli. Otóż sama Ewangelia na pytanie, czy istnieje związek między grzechem i chorobą, odpowiedziała negatywnie. Choroba nie jest karą za grzech (przy założeniu, że grzechem było narażenie się na infekcję wirusem HIV). Co więcej, biskupi francuscy, chcąc oddalić wszelkie przesady w tej dziedzinie, opublikowali oficjalny komunikat, stwierdzający wyraźnie, że aids nie jest karą niebios.

A jednak nie zaszkodzi dodać, że komunikat ten nie jest bynajmniej zachętą.

Jest rzeczą zbyteczną, a nawet szkodliwą z religijnego punktu widzenia, domagać się za każdym razem interwencji nieba. Gdybyśmy bowiem musieli przyjąć, że ono natychmiast karze za pewne grzechy, trzeba by od razu zapytać, dlaczego toleruje tyle innych, często o wiele cięższych, i nie wymierza za nie kary. Trzeba w tym przypadku zacytować zdecydowaną wypowiedź genetyka Jérôme Lejeune'a: "Bóg wybacza zawsze, ludzie tylko czasami, natura - nigdy". Otóż tylko natura jest zamieszana w chorobę, o której tu mówimy. Tak więc odkrywanie jej przyczyn należy do

nauki.

Prezerwatywy w szkole?

Państwo, które za pośrednictwem zakładu ubezpieczeń społecznych bierze na siebie koszty choroby, jest upoważnione do zapobiegania jej wszelkimi stosownymi środkami. A ponieważ aids rozpowszechnia się najczęściej przez współżycie seksualne, normalną jest rzeczą, że państwo interesuje się tą dziedziną i środkami zapobiegającymi rozprzestrzenianiu się zła. Jedyńm środkiem o uznanej skuteczności jest prezerwatywa. Logicznie więc państwo daje ją do dyspozycji młodzieży. Kiedy Kościół sprzeciwia się temu, lub w każdym razie powstrzymuje się od zalecania prezerwatywy, można razem z wieloma zdrowo myślącymi ludźmi powiedzieć, że staje się on winny "odmowy udzielenia pomocy osobom znajdującym się w niebezpieczeństwie".

A jednak nie można się spodziewać, że położymy kres pożarom lasów, ograniczając się do mnożenia osłon z azbestu, a równocześnie pozwalając spacerowiczom podpalać zarośla.

Ingerując bardzo wcześnie w nasze życie płciowe, państwo jest Śprzekonane, że wyświadcza dobrodziejstwo. A tymczasem staje się organizatorem czegoś najgorszego. W rzeczy samej skuteczność prezerwatywy nie jest absolutna. Dowodzą tego statystyki związane ze stosowaniem środków antykoncepcyjnych. Jeśli dziesięć procent niepowodzeń (liczba ogólnie przyjmowana) w zakresie kontroli poczęć przyczynia się do powstania jeszcze jednego przedszkola, to skutki pomyłek powodujących zarażenie chorobą aids rozciągają się na obszar jednego cmentarza wojskowego. Gdy się wmawia dzieciom, że środek uprzejmie oddany do ich dyspozycji wystarczy, aby je zabezpieczyć, tym samym zachęca się je do różnorodnych eksperymentów, które powodują rozszerzanie się plagi. Trzeba by właśnie państwo oskarżać nie z powodu "odmowy udzielenia pomocy osobom znajdującym się w niebezpieczeństwie", ale z racji wystawienia tych osób na niebezpieczeństwo.

Jeśli chodzi o Kościół, nie można nawet pomyśleć, aby mógł on choćby pośrednio zachęcać do praktyk niosących ze sobą bardzo poważne ryzyko, na temat którego istnieje przerażająca zмова milczenia.

Antykoncepcja w młodym wieku?

We Francji co roku sześć tysięcy bardzo młodych dziewcząt zachodzi w ciążę. Stają one wobec alternatywy: przerwać ciążę albo odpowiedzialnie podjąć macierzyństwo ze wszystkimi jego ciężarami, których udźwignąć nie potrafią. Większość z tych dziewcząt, podobnie jak ich młodzi partnerzy, nie znajduje żadnego praktycznego sposobu uniknięcia ewentualności ciąży. Rząd czuje się więc upoważniony do tego, aby dać do rąk dzieci szkolnych podręczniki mówiące o zapobieganiu ciąży, i to od momentu, kiedy dzieci wkroczą w krytyczny wiek czternastu lat: W stosunku do dziewcząt trzeba by zresztą obniżyć ten wiek do lat dwunastu. Mniejszym ciężarem dla państwa jest drukowanie podręczników niż branie na siebie następstw ignorancji, której przecież łatwo zapobiec.

A jednak odnosimy przygnębiające wrażenie, że jeżeli czternastolatki nie zawsze zdają sobie sprawę z następstw swoich czynów, to i państwo nie lepiej ocenia własne pociągnięcia.

Akt seksualny nie jest jedynie działaniem narządów rozrodczych. Czy ktoś tego chce, czy nie, pobudza on do czynu serce, uczucia, inteligencję, i ostatecznie - całą osobę.

Serce, którego nigdy nie można zmusić do milczenia. Zostaje ono wystawione na ryzyko utraty najpiękniejszego ze swych przymiotów, jakim jest zdolność do nieodwołalnego daru z samego siebie.

Uczucia, które zostają natychmiast przytępione i mogą odzyskać zdolność do reagowania jedynie za cenę doświadczeń coraz bardziej skomplikowanych i coraz mniej godnych pochwały, a prowadzących w końcu do zwykłej drapieżności.

Inteligencję, którą zbyt łatwe doznania przyjemności wiodą do pogardy, do pożałowania godnego patrzenia na człowieka, a w końcu do niezdolności otwierania się na prawdę.

Ostatecznie - całą osobę, która stanowi pewną całość. Nie można posługiwać się jakąś jej częścią bez narażania na ruinę jedności, będącej samą podstawą jej egzystencji.

Homoseksualizm?

To, co jednorodne, jest silniejsze niż to, co różnorodne; wobec tego homoseksualizm jest czymś wyższym niż heteroseksualizm. W każdym razie jest to normalna aktywność seksualna, a nawet można powiedzieć, że bardziej naturalna, ponieważ łączy ona dwie osoby tej samej natury. Starożytni mieli w niej więcej upodobania niż w zwyczajnych przejawach miłości. Owszem, wydaje się, że nawet ze strony Kościoła zniknęły wszelkie uprzedzenia w tej dziedzinie, skoro nowy katechizm katolicki nakazuje traktować homoseksualistów "z szacunkiem".

A jednak, gdyby homoseksualizm był naturalny, natura stworzyłaby tylko jedną płć.

1. Argument czysto werbalny jest jedynie kiepską grą słów. Drogę toruje mu język seksuologii, której nie stać na mówienie o sprawach prostych w prostych słowach i która w swojej dziedzinie nie widzi nic anormalnego poza moralnością.

2. Starożytni rzeczywiście nie byli we wszystkim przykładni, a w tym przypadku ich poręczenie nie jest nic warte. Ateńczycy dopuszczali niewolnictwo, Kartagińczycy praktykowali składanie ofiar z ludzi i wrzucali dzieci do rozpalonego pieca w kształcie paszczy Baala.

3. Homoseksualizm może mieć tyle przyczyn fizjologicznych lub psychologicznych, w większości niemożliwych do rozszyfrowania, że nie można wydać sądu o jego adeptach. Takiego zdania jest Kościół, gdy potępia grzech, nigdy jednak nie potępiając grzesznika. Znaczy to, że homoseksualista jest naszym bliźnim, jak każdy inny człowiek. To pragnie Kościół dać do zrozumienia, gdy mówi o "szacunku" należnym także homoseksualiście. Nie mamy pewności, czy wyraz ten, nieco zaskakujący jakby przesadną grzecznością, jest dobrze przyjmowany przez samych homoseksualistów; czy nie podejrzewają oni, że są traktowani jak chorzy, wymagający dużo wyrozumiałości.

4. Prawdą jest, że "zniknęły uprzedzenia" w stosunku do homoseksualizmu. Ale prawdą też pozostaje, że współczesne społeczeństwo w swojej nikczemności woli legalizować wypaczenia, aniżeli je zwalczać. Otóż homoseksualizm jest przede wszystkim wypaczeniem osoby. Takie stanowisko może się wydawać przestarzałe, a przecież najbardziej postępowe jest takie zachowanie, jak u tych, którzy ocalili z zagłady Sodomy. Faktem jest, że spośród homoseksualistów i biseksualistów wywodzi się większość nieszczęsnych nosicieli wirusa HIV. Z tego nikt jednak nie czerpie nauki, pozwalającej ocalić niektórych spośród nich.

Kim jest kobieta?

Kobieta jest towarzyszką mężczyzny. "Uczynię (mężczyźnie) odpowiednią dla niego pomoc", mówi Bóg w Księdze Rodzaju (Rdz 2, 18). Kobieta jest podporządkowana mężczyźnie, a tym samym niższa od niego. Zresztą wspomniana Księga precyzuje, że kobieta została stworzona z "żebra Adama" (por. Rdz 2, 21-23). Takie pochodzenie czyni z niej istotę czysto dodatkową, uzupełniającą. Ponadto odznacza się ona mniejszą siłą mięśni, jej mózg jest lżejszy, cierpi ona na różne ograniczenia i dolegliwości, jak np. miesiączkowanie lub ciąża, wskutek czego staje się niezdolna do podejmowania wielu zadań. Wreszcie kobieta nie stworzyła niczego doniosłego w najważniejszych dziedzinach kultury, sztuki czy myśli abstrakcyjnej, jak to jeszcze zobaczymy w innym rozdziale tej książki.

A jednak kobieta posiada piękno, które, jak powiedziano, jest wynikiem harmonijnego połączenia Dobra, Prawdy i Jedności.

1. To, że kobieta jest "pomocą", nie oznacza wcale podporządkowania. Znaczy to natomiast, że została stworzona nie dla siebie samej. Z tego też względu przewyższa ona mężczyznę, który na ogół jest bezwolną ofiarą swojego egoizmu.
2. Według Talmudu wyraz "żebro" należałoby w przytoczonym tekście Biblii rozumieć w sensie "brzegu", "wybrzeża": kobieta jest jakby morzem, które zaczyna się tam, gdzie kończy się ziemia. Tą ziemią jest mężczyzna. Kobieta - falującym morzem, nawiedzanym sztormami, ale też kryjącym w sobie tajemniczą płodność, nie mówiąc o pianie, która przypomina koronki kobiecych sukien.
3. Ciężar mózgu nie ma żadnego znaczenia. Einstein i Lenin mieli mózgi o wadze poniżej średniej.
4. Siła mięśni nie jest żadnym dowodem wyższości. Karol Marks skakał z pewnością mniej rekordowo niż Carl Lewis.
5. Ograniczenia i dolegliwości, o których tu mowa, wiążą się z jej zdolnością do rodzenia. Żadne z zadań, których kobieta nie może podjąć w czasie ciąży, nie da się porównać z tym, iż wydaje ona na świat żywą istotę.
6. W podobny sposób można odeprzeć zarzut, jakoby kobieta miała mniej zdolności do tworzenia niż mężczyzna: nie ma dzieła sztuki, które mogłoby rywalizować z dzieckiem, podobnie jak żadne perfumy wyprodukowane w laboratorium nie dorównują woni róż.

Sztuka i kobiety?

Kobiety są wprawdzie uzdolnione do twórczości artystycznej niższego rzędu, jak dekoracja, gra na instrumencie, haft itp., ale nie potrafią tworzyć wielkich dzieł wyobraźni twórczej. Wykonują co prawda piękne akwarele albo cudownie grają na fortepianie, ale nigdy nie stworzyły arcydzieła na miarę Rembrandta czy Mozarta.

Na próżno ktoś będzie się powoływał na fakt, że w ciągu wieków kobiety kształciły się tylko w pewnych ściśle ograniczonych dziedzinach. Kształcenie to obejmowało właśnie malarstwo i muzykę. Jeśli dla uczciwości będziemy unikać słowa "słabość", to przecież trzeba stwierdzić, że we wspomnianej przed chwilą dziedzinie kobiety wykazują zdecydowaną niższość w stosunku do mężczyzn.

A jednak sztuka to nade wszystko kwestia wrażliwości. Absurdem byłoby utrzymywać, że kobiety są mniej wrażliwe od mężczyzn.

Sygnaly i obrazy, docierające do nas z zewnętrznego świata za pośrednictwem aparatu zmysłów, grupują się w nas na różnych poziomach duchowej głębi, gdzie nabiera kształtu refleksja, świadomość, ocena, pamięć, aby wreszcie dotrzeć do serca. To ono jest w człowieku organem przemieniającym doznania zmysłowe w miłość. Wszystko bowiem, co istnieje na świecie, otrzymuje swoje właściwe miejsce ze względu na miłość.

Z chwilą gdy wrażenia zmysłowe docierają do brzegu świadomości, artysta przenosi je na płótno, na ścianę, na nocny firmament muzyki lub na ekran wyobraźni, obdarowując nas swoimi odczuciami, przywidzeniami i różnymi produktami swoich doznań. Tu znajduje swe wyjaśnienie ogromna różnica, jaką często zauważamy między delikatnym pięknem dzieła sztuki a osobistym prostactwem niejednego artysty. Dziwi na przykład kontrast między kryształową czystością strumienia muzyki Mozarta i wprost plugawym grubiaństwem uczuć, o którym świadczy jego korespondencja, na przykład gdy pisze do swej siostry, że ją całuje w nos, w czoło i "w tyłek, jeżeli jest czysty".

Kobiety mają oczywiście takie same duchowe właściwości jak mężczyźni, jednakże nie kierują one nimi w taki sam sposób. Nie stawiają one żadnej zapory nawałnicy uczuć, docierających bezpośrednio do ich serc. Tu przemieniają się one natychmiast w poświęcenie, w miłość, w nienawiść lub w mistyczne uniesienie. Kobiety tworzą na pozór mniej arcydzieł sztuki niż mężczyźni. Ale trzeba przecież przyznać, że mistyczna wzniosłość świętej Katarzyny ze Sjeny lub Jadwigi z Antwerpii przewyższa wartość wszystkich obrazów świata, także w porządku estetycznym.

Nie można więc mówić o żadnej niższości kobiet w dziedzinie twórczości artystycznej. Trzeba by raczej stwierdzić coś odwrotnego, skoro oślepiający blask doświadczenia mistycznego przerasta wszelkie inne postacie olśnienia.

Czas więc wreszcie skończyć z tym mieszczańskim, upartym i śmiesznym uprzedzeniem, które krzywdzi kobiety przez przypisywanie im "nierówności" w stosunku do mężczyzn. Owe "nierówności" to przecież tylko różne formy egzystencji.

Jeśli zaś chodzi o opinię o "wielkich kompozytorach" i "wielkich malarzach", to są one bezwartościowe, jeśli nie wręcz chamskie. To kobiety wydały na świat Rembrandta i Mozarta. I jeśli prawdą jest, że wśród kobiet nie znajdujemy duplikatów tego rodzaju, to nie da się zaprzeczyć, że i wśród mężczyzn nie można ich dostrzec.

Przysięga małżeńska?

Jest to pojęcie i zwyczaj z epoki głęboko przenikniętej religijnością i wiarą w nieśmiertelność duszy. W owej epoce czas pojmowano jako przedsmak wieczności, tak że wszelkie zobowiązanie podejmowane na ziemi miało swoje nieodzowne przedłużenie na tamtym świecie. Ta koncepcja świata jest już obecnie przedawniona. Człowiek jest świadomy swoich ograniczeń, a równocześnie osiągnął on całkowitą wolność od wszelkiego rodzaju religijnego lub moralnego zniewolenia. I to jest jego najcenniejszym dobrem. Człowiek nie toleruje żadnej alienacji. Także i miłość, jak i żadne inne uczucie, nie jest w stanie zobowiązać go w sposób nieodwołalny. Mężczyzna ani kobieta nie mogą się sobie wzajemnie oddać definitywnie, podobnie jak nie potrafiliby złożyć przysięgi, że przez całe życie będą jedli kapustę. Miłość nie ma już obecnie owego piętna wieczności, jakie wyciskało na niej niegdyś domniemane potwierdzenie niebios.

A jednak pozostaje prawdą, że miłość, której by nie towarzyszyło przeświadczenie, że jest wieczna,

nie mogłaby nigdy zaistnieć.

Panuje całkowite zamieszanie co do natury ludzkiej miłości i podstaw małżeńskiej przysięgi. Jeśli chodzi o religię, to ona zawsze uświęca jedynie stan faktyczny. Miłość wyprzedzała obrzędy. To właśnie tajemnica międzyludzkiej więzi jest jedną z przyczyn, a nie rezultatem, wielkich pytań stawianych w obrzędzie religijnym.

Istnieje również błędne pojęcie samego procesu zobowiązania. Nie prowadzi on do zmęczenia i nudy, które są smutną pozostałością niepokonalnego egoizmu, ale do stopniowego i zachwycającego odkrycia niezmiernych głębi ludzkiej istoty. Objawiają się one przez udział w doświadczeniach i cierpieniach, wiodąc ku nieskończoności, która porywa za sobą jednego współmałżonka, a pozostawia drugiego z jego wspomnieniami, z tego upojeniem, z jego łzami. I pozostaje owa pewność, żeśmy kochali. To jest jedyne nieutralne dobro, które można osiągnąć na tym świecie i zabrać ze sobą w wieczność.

Wyzwolenie kobiety?

Wyzwolenie kobiety weszło w fazę decydującą po wydarzeniach z maja 1968 roku wraz z rozpowszechnieniem pigułki antykoncepcyjnej, z legalizacją przerywania ciąży, z wynalezieniem "pigułki jutra" oraz masowym wkroczeniem kobiet na rynek pracy. Osiągnęły one tutaj swą niezależność, a prawo przestało wreszcie popierać sprzyjające mężczyznom rozróżnienie między obu płciami. Jest to jakaś rewolucyjna zmiana losów kobiety.

A jednak rzadko kiedy rewolucje kończą się tak, jak się zaczęły. Niewiele pozostało z entuzjazmu roku 1789 w ponurym requiem roku 1794.

Można się tylko cieszyć z przyjęcia zasady równości mężczyzny i kobiety w obliczu prawa. Tej radości towarzyszy jednak zdziwienie, że trzeba było aż tyle wieków, aby do niej dojść. Trzeba jednakże wyrazić żal, że nie zawsze bywa usuwana nierówność zarobków.

Z przyjemnością przeżywalismy coś, co można by nazwać "nocą 4 sierpnia". Była ona pracowita i długa, ale właśnie wtedy została wreszcie zniesiona, przynajmniej werbalnie, zasada o wyższości mężczyzn. Nie można przecież jednak przemilczeć faktu, że przygotowane potem ustawy o pigułce lub o przerywaniu ciąży były ustawami mężczyzn i przegłosowanymi przez mężczyzn. Zostały one wprowadzone po to, aby uwolnić mężczyzn od następstw ich postępowania i aby oszczędzić kobietom ryzyka, na jakie są narażone z racji swoich uwarunkowań.

Ostatecznie jednak jest rzeczą zupełnie niemożliwą dokonanie jasnej oceny psychologicznych następstw tej ogromnej przemiany. Uczuciowe relacje między mężczyznami i kobietami nie są na pewno takie, jakie były niegdyś. Pytamy nawet niekiedy, czy można jeszcze mówić o życiu uczuciowym na oznaczenie pewnego systemu relacji, które zaczynają się tam, gdzie dawniej się kończyły. Kobiety powiększyły obszar swej niezależności. Można jedynie z radością powitać ten postęp. Nie jesteśmy jednak pewni, czy w tym samym czasie nie utraciły one wiele ze zdumiewającej siły swego charakteru, jaką zdobywały od najwcześniejszej młodości, gdy znajdowały się w sytuacji oblężonej twierdzy. A z drugiej strony mężczyźni, którym głupota dyktowała przekonanie, że są bardziej inteligentni od kobiet, zaczynają wątpić w samych siebie. Jest to dobre dla zdobycia pokory, ale nie tak dobre, aby podjąć zobowiązanie moralne. Dzisiaj nie można powiedzieć, jaką to umowę zawierać będą jutro dwie osoby, które w swoich wzajemnych relacjach zmieniają się w kierunku niemożliwym do przewidzenia.

W każdym razie w sposobie poruszania tego tematu dokonał się pewien postęp. Bo jeszcze niedawno w teatrze, w literaturze albo w rozmowach idiotów istniał pewien styl mówienia "o

kobietach", który zbyt często przypominał język, jakim posługiwano się w mówieniu "o Żydach".

Dlaczego kobiety interesują się księżniczkami?

Jest to dowód słabości ich rozeznania i dobry przykład ich nierozumnej skłonności do marzycielstwa.

A jednak kobiety, często skupiające w swych rękach obowiązki pracy zawodowej, ciężar utrzymania rodziny i troskę o dzieci, do których można zaliczyć także ich męża, są w znoszeniu rzeczywistości codziennego życia bardziej odporne niż mężczyźni.

Odpowiedź jest prosta: wszystkie kobiety mają powołanie księżniczki i wszystkie powinny nią być u siebie. W każdym razie prawie wszystkie są księżniczkami w o wiele wyższym stopniu niż znakomitości, o których światowych przygodach jest głośno w prasie, a których zachowanie zbyt często odbiera nam chęć do marzeń.

Czy piękno jest przymiotem kobiet?

1 1 73 0 0 108 1 ff 1 32 1

Jest to oczywiście cecha męska. We wszystkich gatunkach zwierząt zawsze ładniejszy jest samiec: jest bardziej upierzony i owłosiony. Dowodzi tego choćby upierzenie bażanta albo grzywa lwa. Proporcje ciała mężczyzny są bardziej harmonijne niż kobiety, z jej zbyt szeroką miednicą i szczupłymi barkami. Mięśnie kobiety są wiotkie i w zawodach sportowych zwycięstwo odnosi mężczyzna. Ponad to dwa greckie kanony piękności: Apoksjomen Lizypa i Doryfor Polikleta - to mężczyźni. Nie ma natomiast żadnego kanonu piękna kobiecego, które zresztą podlega wielkiemu zróżnicowaniu od Wenus "o pięknych pośladvach" do Diany Łowczyni, albo od kobiet Maillola do kobiet Modiglianigo. Kobieta może być miła, ale tylko mężczyzna jest piękny.

A jednak piękno to nie sprawa piór. W tym przypadku rewiowe tancerki byłyby z pewnością ładniejsze od mężczyzn, chociaż chciano udowodnić coś odwrotnego. Nie jest to również kwestia owłosienia, gdyż wtedy najładniejszą istotą byłaby małpa.

Jeśli chodzi o kształty, kobieta nie musi niczego zazdrościć swojemu towarzyszowi, wyrzeźbionemu z energią, podczas gdy ona wydaje się cała urodzoną z pieszczoty. Piękno jest związane przede wszystkim z jednością bytu i z tym, co Paul Claudel nazywał "cudem proporcji". Otóż jeśli mężczyzna i kobieta dorównują sobie pod względem kształtu, różnią się, jeśli chodzi o jedność. Kobiety są jak Republika, jedna i niepodzielna. Mężczyźni są zbudowani jakby z przedziałów, które nie zawsze łączą się ze sobą: inteligencja często zaprzecza sercu; ambicja staje w poprzek życiu rodzinnemu, a miłość nie zawsze opanowuje inne uczucia. Tak więc kobietom trzeba będzie przypisać piękno, które Arystoteles uważał za pierwszą ze wszystkich cnót. Niech jednak będzie wolno im dyskretnie przypomnieć, że nie jest to jedyna cnota, którą powinny praktykować.

Uśmiech?

U niemowlęcia uśmiech jest wyrazem szczęścia płynącego z dobrego trawienia, bez żadnego wydzwiku psychologicznego. To nieznaczne rozszerzenie mięśni jarzmowych jest bezpośrednio powodowane napełnieniem żołądka, podobnie jak się napinają uchwyty dobrze wypchanej torby. Trzeba zresztą zauważyć, że uśmiech zakreśla łuk, jakby zapoczątkowanie koła które jest figurą geometryczną wyrażającą pełnię. Daremnie będziemy gdzie indziej szukać przyczyny tego czysto mechanicznego zjawiska, w którym rodzice, powodowani jakąś naturalną słabością, upatrują znak

wdzięczności lub przyjaźni.

A jednak nazarty wąż boa nie uśmiecha się.

Uśmiech niemowlęcia to jedna z największych i najbardziej czarujących tajemnic świata. Rzekłbyś, że to przechadzający się w nocy anioł, który kołysze w ręku latarnię. Uśmiech ten wyraża coś znacznie większego niż poczucie sytości żołądka u dobrze nakarmionego malucha. To porywający dowód na istnienie duszy, to milczące zaproszenie do miłości, to ulotne przejście łaski, to przeblysłk ironii wobec materializmu.

Postęp?

Postęp wiąże się z ewolucją. Jest on więc niepoahamowany. Nie da się temu zaprzeczyć, jak ogromny postęp dokonał się w życiu człowieka od epoki jaskiniowej. Jest to widoczne nawet na przestrzeni jednego stulecia czy w porównaniu dwóch jego części, na przykład gdy zestawiamy ze sobą wiek XIX i XX, czy też pierwszą i drugą połowę wieku XX. Wystarczy porównać sytuację francuskiego rolnika z lat dwudziestych lub trzydziestych z tą, jaka jest obecnie. Nie trzeba przytaczać wszystkich oznak postępu naukowego i technicznego ostatnich pięćdziesięciu lat, kiedy to dokonano więcej odkryć niż w ciągu całej ludzkiej historii. Oppenheimer mówił: "Na stu uczonych, którzy odegrali jakąś rolę w tej historii, dziewięćdziesięciu dziewięciu jeszcze "żyje". Postęp jest więc oczywistością.

A jednak Simone Weil określała postęp jako śmieszny mit, a Paul Valery napisał: "Wiemy obecnie my, budowniczoie innych cywilizacji, że jesteśmy śmiertelni". A poza tym były w ludzkiej historii okresy niezaprzeczalnej regresji.

Mit piętnowany przez Simone Weil polega na tym, że ludzie wyobrażają sobie przyszłość jako bezwzględnie lepszą od przeszłości, i to bez żadnego wysiłku ze strony człowieka. Dzień jutrzejszy winien człowieka witać ze śpiewem, i to nawet bez jego udziału.

Zamiast mówić o "postępie", lepiej byłoby mówić o "postępach" ludzkości. Przejawy tych postępów są oczywiste w jednych dziedzinach, ale wątpliwe w innych, zawsze zaś są podatne na gwałtowny ruch wstecz.

Trzeba odróżnić postępy w dziedzinie materialnej, kierowanej przez inteligencję, od postępów ducha.

Postępy inteligencji rozszerzają pole poznania, i trzeba przyznać, że w tym wieku ich zasięg i tempo były nadzwyczajne. Trzeba jednak przy tym rozróżnić między realnymi osiągnięciami wiedzy i naukowymi scenariuszami, które przedstawia się często jako odkrycia, a które są jedynie mglistymi domysłami.

Postępy ducha dotyczą sztuki, literatury, moralności i teoretycznego myślenia. Otóż w tych czterech dziedzinach postęp jest żaden.

1. W dziedzinie sztuki rozumowo uzasadniona doskonałość Partenonu pozostała dotąd niedościgła. I zupełnie niesłychane jest to, że wszyscy wiemy, iż nie zostanie ona nigdy prześcignięta.

2. W dziedzinie literatury nie widzimy żadnego dzieła, które by przewyższało Iliadę, napisaną dwa tysiące osiemset lat temu.

3. W zakresie moralności ludzkość ma za sobą okresy niezwyklej wzniosłości, ale i niewiarygodnych wynaturzeń, wykluczających ideę postępu.

4. Myśl teoretyczna nie postąpiła ani krok naprzód od czasów Platona i Arystotelesa. Oczywiście są oni rzecznikami znacznego postępu w stosunku do swoich poprzedników; w porównaniu z nimi jednak ich następcy nie wykazują żadnego postępu. Problemy przez nich postawione pozostają nadal otwarte. I jeśli oni ich nie rozwiązali, nam również się to nie udało. Ci, którym się zdawało, że ich prześcignęli, popadli w pustkę lub w ideologiczne ekstrawagancje.

Jeśli postępy wiedzy są czymś oczywistym, nie można stwierdzić żadnego postępu duchowego od dwóch tysięcy lat. Grecy wprawdzie opanowali myśl teoretyczną, ale Ewangelia ciągle włada ludzkimi duszami.

Prawo do różnic czy do podobieństwa?

Różnorodność ras, tradycji, kultur i obyczajów stanowi o bogactwie świata: winna być uznawana, podziwiana i chroniona. Sprzeciwiają się jej różne odmiany rasizmu, nacjonalizmu i fanatyzmu. Systemy te dopatrują się w zróżnicowaniu religii, obyczajów lub po prostu koloru skóry - zagrożenia swej tożsamości. Zagrożenie to budzi lęk, następnie nienawiść, w końcu zaś przemoc. Z tego to względu "prawa do różnic" trzeba bronić jako prawa podstawowego, jako zdobyczy cywilizacji oraz gwarancji pokoju między ludźmi.

A jednak, jeśli słuszne jest to, co przed chwilą powiedzieliśmy, prawdą pozostaje, że "prawo do różnic" kryje w sobie inne prawo, o którym nigdy się nie mówi, a mianowicie prawo do podobieństwa.

Zaprzeczenie prawa do różnic jest przyczyną niezliczonych konfliktów, działań wymierzonych przeciwko mniejszościom etnicznym, a także wszelkiego rodzaju nieszczęść, które rujną społeczeństwa i w końcu deprawują ludzki gatunek. Zamiast jednak ograniczać się do rejestrowania tego, czym mój sąsiad może się różnić ode mnie, bardziej przydatne byłoby może szukać tego, co nas łączy. Chociaż bowiem ludzie są od siebie oddaleni uwarunkowaniami geograficznymi lub wydarzeniami historycznymi, spotykają się oni na wielu płaszczyznach intelektualnych lub moralnych, które sprawiają, że często różnią się od siebie mniej, niż sądzą.

Owszem, kultury bywają rozbieżne; u pewnych ludów spotykamy obyczaje, które nam się wydają barbarzyńskie (i rzeczywiście takie są, jak na przykład praktyka kastracji); bywa, że fanatyzm otacza się murem. Niemniej jednak pierwsze doświadczenia świadomości są często podobne, i tak na przykład wszyscy ludzie są zdolni do przyjaźni. Francuz może czuć się bardzo różny od Patagończyka w sprawach obyczajów lub w sposobie mieszkania, ale Patagończyk i Francuz, którzy podają sobie rękę, komunikują się tym samym językiem. Bardziej trzeba nam się uczyć umiejętności władania tym językiem niż walki o "prawo do różnic".

Grzech?

Grzech jest pojęciem wyprowadzonym ze zbyt dosłownego czytania Biblii. Miałby on być złamaniem wyimaginowanego prawa, narzuconego przez najwyższą, nieomylną i odwieczną władzę, która nie istnieje. Pojęciowe sprzężenie "grzech - przebaczenie" jest odrzucone przez współczesną umysłowość. Dzisiejszy człowiek formuje swój własny system moralny w zależności od osobistej koncepcji dobra i zła lub w miarę ustępstw, które w wyniku namysłu uważa za stosowne uczynić dla moralności społecznej. Zbyteczne rozwodzić się na ten temat, poruszony już

w książce "Bóg i ludzkie pytania". Zresztą sami chrześcijanie porzucili ideę grzechu, jak o tym świadczy ich obojętność wobec sakramentu pokuty i wynikający z niej opór wobec spowiadania się. Tym samym zrezygnowali oni z idei "przebaczenia", które stało się bezprzedmiotowe, a ponadto upokarzające dla kogoś, kto go dostępuje.

A jednak poczucie winy nigdy nikogo nie pomniejszyło, wręcz przeciwnie.

To prawda, że pojęcie grzechu nie ma sensu dla człowieka niewierzącego. Dlatego zwrócimy się tu tylko do chrześcijan, aby im przypomnieć, że pozbywając się poczucia grzechu i rezygnując z przebaczenia, tracą dwie wartości duchowe o nieprawdopodobnym bogactwie, którego nic nie potrafi zastąpić. Trzeba dodać, że chociaż w historii przebaczenie przychodzi po grzechu, to dla dusz wrażliwych na mistykę jest rzeczą jasną, że w porządku ustanowionym przez Boga grzech został dopuszczony jedynie ze względu na przebaczenie, będące inną postacią nieprzebranego miłosierdzia.

Ingerencja humanitarna?

Z jednej strony rozwój akcji humanitarnej w świecie, a z drugiej narodziny "nowego ładu światowego", któremu sprzyjało zakończenie zimnej wojny, od pewnego czasu skłania Narody Zjednoczone do coraz częstszych interwencji w lokalnych konfliktach i w przypadkach nędzy, kiedy to całym narodom grozi unicestwienie. Przy założeniu, że "prawo do ingerencji humanitarnej" może być zastosowane jedynie na rozkaz i pod kontrolą Organizacji Narodów Zjednoczonych, trzeba mu przyznać przewagę nad zasadą "nie-interweniowania", stosowaną przez dawną dyplomację międzynarodową. Nigdy nie potrafiła ona obronić słabych przed żarłocznością chciwego na zdobycz sąsiada, ani też - tym mniej - ocalić od nędzy wydziedziczoną ludność.

A jednak, zamiast mówić o "prawie do ingerencji", może lepiej byłoby mówić o "obowiązku pomocy". Ingerencja bowiem kojarzy się z bezprawnym wtargnięciem.

Prawdą jest, że "międzynarodowa świadomość", niegdyś zbyt bezradna, obecnie zdobywa stopniowo środki oddziaływania. I byłoby rzeczą karygodną odmawiać jej prawa do ich stosowania pod absurdalnym pozorem, że są one niewystarczające albo że niekiedy używa się ich niezręcznie. Prawo do ingerencji humanitarnej jest pewnym poszerzeniem obowiązku udzielenia pomocy osobie znajdującej się w niebezpieczeństwie. Obowiązek ten tkwi od dawna w prawie zwyczajowym, którego trzeba bronić mimo porażek, jakich doznają w walce ludzie obowiązani do jego stosowania.

Najtrudniejszy do rozwiązania problem, łączący się z "obowiązkiem ingerencji" nie należy do porządku prawnego lub moralnego, ale psychologicznego. Z jakiego powodu? Bo pomoc humanitarna przechodzi zawsze z rąk mocnego do rąk słabego, ze strony bogatego do biednego. I chociaż początkowo przedstawiciele międzynarodowej dobroczynności, obładowani workami ryżu, są przyjmowani jako wybawiciele, dość szybko postrzega się ich jako niepożądanych okupantów, zwłaszcza jeśli dla ochrony swoich worków muszą się uciekać do pomocy wojska. Kiedy się podejmuje interwencję, choćby nawet z pobudek czystej wspaniałomyślności, trzeba najpierw prosić o przebaczenie tego, że dysponuje się środkami do interwencji. Nie jest to powód, aby z interwencji zrezygnować, ale to prawda, której nie należy tracić z oczu. Św. Wincenty a Paulo przypominał ją swoim wspaniałym małym siostrzom: "Pamiętajcie o tym, moje córki, że biedny nigdy wam nie wybaczy chleba, który mu dajecie". Nie mówił tego bynajmniej w tym celu, aby je zniechęcić do pełnienia dobrych uczynków. Pragnął, aby zrozumiały, że w przypadkach skrajnej nędzy nawet miłość jest jedynie bardzo skromnym początkiem sprawiedliwości, za który nie należy się żadna wdzięczność.

Obraz?

Nasza współczesna cywilizacja obrazu niebawem wyeliminuje cywilizację słowa pisanego, która zrodziła się wraz z wynalezieniem czcionki drukarskiej. Wyższości obrazu nad tym, co drukowane, nie trzeba udowadniać. Obraz jest środkiem wyrazu prostym, uderzającym, rzetelnym; ma on ogromny wpływ na szerzenie się kultury. Nie wymaga bowiem od człowieka uprzedniego przygotowania, aby mógł on zakosztować owoców swojego poznania. Uniwersalny język obrazu zatacza coraz szersze kręgi, wypiera książkę i nie potrzebuje pomocy tłumaczy. Postępu tego języka nie da się zatrzymać.

A jednak obraz był przed pismem, które powszechnie uważa się za objaw ogromnego postępu.

Absurdem jest porównywanie ze sobą dwóch środków wyrazu, które nie oddziałują na ten sam zmysł. Obraz jest odbierany przez wzrok, słowo zapisane dociera do nas poprzez słuch. Książka zawiera uformowane słowa, a słowo jest o wiele bardziej skuteczne niż obraz. Obraz powoli się zaciera, ulega zniszczeniu lub obraca się w proch. Wśród pomników starożytności zachowały się bardzo piękne obrazy. Jednakże czas zniszczył wiele spośród nich, a te, które ocalały, powoli się rozsypują. A tymczasem słowa wypowiedziane w tej samej epoce przetrwały wieki, nie zmienione, i można by powiedzieć - niezniszczalne. Nie pozostało prawie nic z pięciu cudów świata, a większość starożytnych malowideł pokonał czas. Do dziś jednak słyszymy zaklinanie Priama skierowane do Achillesa albo stłumiony krzyk Antygony.

Nie jest prawdą, że obraz - to rzetelny środek wyrazu. Przy pomocy obrazów można równie dobrze kłamać, co i przez słowa. Owszem, kłamstwo tkwiące w obrazie może być bardziej dotkliwe, ponieważ przybiera pozory obiektywnej prawdy. Przyznawać obrazowi wyższość nad pismem to jakby twierdzić, że dla lepszego poznania świata lepiej jest być głuchym.

Wreszcie - słowo utrwalone na piśmie wyzwala wyobraźnię, podczas gdy obraz ją ogranicza. Tak na przykład każdy film oparty na jakimś arcydziele literatury jest jaskrawo mniej wartościowy od owego arcydzieła, a co jeszcze bardziej uderzające, to fakt, że żaden film nie nadąza za wyobraźnią czytelnika utworu literackiego.

Moralność?

To zbiór nakazów i zakazów, regulujących stosunki między jednostkami oraz odniesienie jednostek do społeczeństwa. Ich poszanowanie, narzucone lub dobrowolnie przyjmowane, uważa się za źródło dobrodziejstw określanych mianem "porządku moralnego".

Owe nakazy i zakazy, niezależnie od tego, czy zostały ogłoszone przez jakąś władzę, czy też uchwalone i przyjęte w sposób demokratyczny, godzą w osobistą wolność, niekiedy ją przekreślają, a zawsze ograniczają.

Niegdyś, kiedy Kościół panował nad społeczeństwem, to on wszechwładnie określał dobro i zło. Na nieszczęście dla społeczeństwa, a na szczęście dla wolności, moralność oparta na rozróżnieniu dobra i zła okazywała się o wiele bardziej wymagająca w stosunku do jednostek niż względem ustanowionej władzy. Owa dwoistość tkwi u źródeł większości współczesnych rewolucji. Ludzie bowiem są coraz mniej skłonni godzić się na to, aby przedstawiciele władzy, król czy państwo, byli ponad prawem obowiązującym obywateli.

Co więcej, pojęcia dobra i zła są różnie pojmowane w różnych cywilizacjach i epokach. Najbardziej świątliwie umysły starożytności uznawały niewolnictwo, Kościół zaś dopuszczał tortury, a może nawet sam je stosował przy zwalczaniu heretyków itp. Jednym słowem można powiedzieć, że nie ma obiektywnego pojęcia dobra i zła, a moralność jest zawsze samowolną postacią przymusu.

A jednak moralność jest nieodzowna, aby osiągnąć szczęście. Jej brak prowadzi jedynie do nieszczęść.

1. Intelktualistom ostatnich dwóch wieków towarzyszy pewność, że przyczyniają się do duchowego postępu przez atakowanie i ośmieszanie moralności. Czynią tak, ponieważ przypisują jej pochodzenie religijne, które przecież nie jest jej właściwością. Pierwszą bowiem instancją powołaną do rozróżniania dobra i zła nie jest religia, ale rozum. Kto w tej dziedzinie wprowadza zamieszanie, bardziej szkodzi rozumowi niż wierze i wydaje ludzkość na pastwę totalitarnych ideologii, których pierwszą troską jest zniesienie wszelkiego obiektywnego pojęcia dobra i zła; dla których dobrem jest to, co służy umocnieniu ich panowania, zaś złem to, co w tym przeszkadza.

2. Rzekome ograniczenia narzucone przez moralność są wprowadzane po to, aby chronić słabego przed mocnym. Jednakże osłona, jaką stwarzają, jest bardzo krucha, a jej wywracanie jest czynem haniebnym.

3. Opinia o zróżnicowaniu moralności zależnie od cywilizacji i miejsca nie ma żadnego znaczenia, mimo zapewnienia Pascala ("Prawda jest z tej strony Pirenejów, fałsz z tamtej").

Wrażliwość na dobro i zło jest wszędzie taka sama. Świadczy o tym fakt, że najbardziej niemoralne systemy totalitarne czuły się zmuszone do tuszowania podłości swoich sądów jakimiś pozorami demokratycznej legalności przez dodawanie kłamstwa do hańby.

4. W każdym sumieniu zakorzenione jest obiektywne pojęcie dobra i zła. Sumienie nie może go zaprzeczać, nie niszcząc samego siebie.

5. I wreszcie trzeba dodać, że nie ma szczęścia bez moralności, tak jak nie ma zdrowia bez opanowania popędów. Wielu ludzi, którzy odrzucili tę oczywistą prawdę, skończyło w szpitalach.

Przeludnienie?

Jest to jedno z największych niebezpieczeństw zagrażających ludzkości. Obliczono, że jeśli utrzyma się aktualny rytm wzrostu demograficznego, za trzy stulecia naszą planetę zamieszkiwać będzie siedemset miliardów ludzi. Ta przerażająca liczba domaga się niezwłocznie zastosowania środków ograniczających urodziny, zwłaszcza, naturalnie, w krajach ubogich.

A jednak warto zauważyć, że to zawsze sąsiedni kraj jest przeludniony. Jeśli gdzieś jest o jednego człowieka za dużo, to jednak nigdy nie jest nim urzędnik prowadzący statystykę.

Po pierwsze obliczono, że gdyby wszyscy mieszkańcy Ziemi zgromadzili się w Australii, to gęstość zaludnienia na tej wyspie nie byłaby wyższa niż istniejąca obecnie w krajach Beneluksu. Po drugie - Ziemia mogłaby wyżywić dwa razy więcej mieszkańców, niż posiada ich obecnie, i to bez konieczności uciekania się do jakichś nowych technik. Po trzecie - "wróźbici przyszłości" zgodnie przewidywali jak najgorszy los dla Indii w przypadku, gdyby ich ludność miała się jeszcze zwiększyć. A tymczasem Indiom nie powodziło się nigdy lepiej niż od czasu, gdy liczba ich mieszkańców wzrosła z 600 do 900 milionów. Po czwarte - krzywe statystyczne wiążą się zawsze z rachunkiem prawdopodobieństwa i nigdy nie zostały potwierdzone przez fakty. Gdyby dzisiaj

poprowadzić dalej krzywą dotyczącą zakażenia wirusem HIV, w roku 2024 nie byłoby na ziemi żywej duszy. Jest to ewentualność nieprawdopodobna i zresztą niezgodna z przewidywaniami demografów. I wreszcie po piąte - nasza filantropia każe nam marzyć o narzuceniu narodom biednym kontroli urodzin. Ale nikomu nie przychodzi do głowy, aby kontrolować liczbę ich zmarłych!

Odmowa pełnienia służby wojskowej?

Wynikający z motywów religijnych sprzeciw wobec służby wojskowej jest zrozumiały u każdego ucznia Ewangelii, podobnie jak u każdego szczerego przyjaciela pokoju. Przeciwnik tej służby odmawia wszelkiego działania, które by go wciągało do uczestnictwa w konflikcie zbrojnym. Powstrzymując się od służby wojskowej, okazuje się on konsekwentnym pacyfistą. Staje na szczycie moralności i nie można go potępić bez równoczesnego odrzucania zasad moralnych.

A jednak neutralność nie istnieje. Ten, kto świadomie stoi na uboczu awantury między dwoma ludźmi, sprzyja mocniejszemu, podobnie jak ten, kto nie bierze udziału w głosowaniu, faktycznie głosuje za większością.

Kto odmawia służby wojskowej, traci możliwość sprzeciwu wobec niegodziwego układu; innymi słowy - pozbawia się możliwości wyrażenia naprawdę sprzeciwu sumienia. Tak więc miejsce przeciwnika służby wojskowej jest właśnie w wojsku. Odrzucając obowiązek służby, nie staje on "na szczycie moralności", ale na szczycie sprzeczności z samym sobą.

Myślę, więc jestem?

Jest to podwalina współczesnej filozofii. Okazała się odporna na wszelkie próby. Na jej podstawie powstały wszystkie systemy subiektywistyczne (od trzech wieków nie ma zresztą innych systemów). Kartezjańska zasada "Myślę, więc jestem" wykazuje najpierw, że myśl może stworzyć samą siebie i nie potrzebuje przedmiotu (była to działalność przypisywana niegdyś tylko Bogu), aby u kresu swojego biegu dojść do odkrycia, że to nie byt tworzy myśl, ale myśl tworzy byt. W ten sposób otrzymują uwierzytelnienie: Emmanuel Kant (istnieje przepaść między intelektem i rzeczywistością), Hegel (idea tworzy wszystko, co jest) i wszystkie systemy filozoficzne, które w konsekwencji nigdy nie potrafiły, albo uparcie nie chciały, pogodzić ze sobą ducha i świata.

Zasada Kartezjusza jest oczywiście nie do odparcia.

A jednak Paul Valery zauważył, że formuła Kartezjusza ma jedynie wartość subiektywną. Nikt nie może powiedzieć: "On myśli, więc jest".

Wszystkie współczesne systemy filozoficzne opierają się na dwuznacznikach, na grze słów, na językowych sztuczkach, na wymyślonych przesłankach, które mają tę zaskakującą właściwość, że przemijają nie zauważone.

Na przykład Hegel na początku swego dowodzenia postawi zasadę, że "byt jest czystą nieokreślonością". Jego potężny umysł bez trudności wykaże następnie, że to samo można powiedzieć o nicości. A to dowodzi tożsamości przeciwieństw. Emmanuel Kant, który jeszcze dzisiaj króluje nad myślą zachodnią, powie, że rozum poznaje tylko sam siebie i nie może dotrzeć do "rzeczy samej w sobie". Jest to sprzeczność której się nie wytyka jego wielkiemu geniuszowi. Bo jeśli rozum poznaje tylko sam siebie, staje się on czymś w rodzaju dźwigu przeznaczanego do chwywania przedmiotów nieuchwytnych. Nie pozostaje mu nic innego, jak myśleć o sobie samym do końca świata. Zaiste, smutny to cel.

Zasada Kartezjusza "Myślę, więc jestem" to jeszcze jedna farsa-pułapka współczesnej pseudometafizyki. Bo żeby powiedzieć "myślę", trzeba, by umysł wcześniej poznał sam siebie. To zaś sprawia, że wypowiedź nie jest pierwszym i bezpośrednim owocem świadomości.

Wszystkie systemy filozoficzne opierają się na tego rodzaju chwiejnych palach, wkopanych w ruchome piaski mózgu.

Co to jest wolna wola?

To iluzja. Wszystkie nasze działania są zależne od naszej przeszłości, od naszej własnej konstytucji, od okoliczności, środowiska i od naszego wychowania. Najmniejsza z naszych decyzji wynika ze stu przyczyn, na które nie mamy żadnego wpływu i których nawet nie znamy. Nie ma naprawdę ani jednego z naszych wyborów, który by nie został nam narzucony. Nawet nasz umysł, ustalający ramy, w których porusza się nasza rzekoma wolność, narzuca jej ograniczenia fałszujące jej działanie. Jednym słowem - nie ma wolnej woli, a determinizm ma rację.

A jednak, gdyby wolna wola absolutnie nie istniała, nikomu by nie przyszło do głowy, aby ją negować.

Gdyby też skrepowanie człowieka było tak zupełne, jak by to wynikało z wyżej przytoczonych opinii, byłby on całkowicie zwolniony z odpowiedzialności, zaś sprawiedliwość, która rości sobie prawo do osądzania jego czynów, byłaby z istoty swojej niesprawiedliwa. Człowiek byłby niezdolny do wytworzenia sobie pojęcia obiektywnego dobra i zła, a tym samym niezdolny do postępu czy do życia w społeczeństwie, gdzie trzeba przecież dostosować się do wymagań prawa nawet wtedy, gdy nie służy ono naszym interesom. Wreszcie człowiek nie byłby w stanie oprzeć się swoim instyktom lub namiętnościom. A przecież zdarza mu się, że potrafi to uczynić, nie przymuszony lękiem ani siłą.

Błąd determinizmu to przekonanie, że wolność człowieka polega na tworzeniu samego siebie, na tym, że człowiek nigdy od nikogo nie zależy, jak tylko od własnej woli; ona zaś, wyzwolona od wszelkiego nacisku czy od podburzenia z zewnątrz, pragnie ostatecznie tylko samej siebie, trwając w swego rodzaju nie kończącej się wewnętrznej ekstazie.

A tymczasem wolność nie jest tym, co pozwala człowiekowi w każdych okolicznościach potwierdzać samego siebie, lecz na odwrót: tym, co przy sposobności każe mu zaprzeczać sobie z miłości lub wspaniałomyślności.

Dlaczego?

To pytanie, jakiego nauka sobie nie stawia. "Dla mnie, jako fizyka, pytanie to nie ma sensu" - mówi Einstein. Pytanie to zakłada jakąś domniemaną celowość we wszechświecie. Skoro jednak owa suponowana celowość nie jest nam znana, stawiane pytanie nie może pochodzić z rozumowego poznania. Jest to więc pytanie jałowe i zbyteczne. Nauka pozostawia je chętnie religii, która daje na nie odpowiedzi zaczerpnięte z Biblii, przy czym jej teksty nastroczają wiele zastrzeżeń, bądź z Objawienia, otrzymanego w formie niesprawdzalnych opowiadań lub faktów wymagających ustalenia.

Jedynym naukowym pytaniem jest pytanie "jak?" Jak powstają rzeczy będące przedmiotem mojej obserwacji?

A jednak nie wystarczy zabronić stawiania jakiegoś pytania, aby się ono nie narzucało.

Na temat sensu owego "dlaczego?" istnieje pewne nieporozumienie, świadomie podtrzymywane przez teoretyków naukowego racjonalizmu. Naturalista Jean Rostand określał to pytanie mianem "metafizycznego obrzydzenia". Od początku świata każdemu myślącemu człowiekowi narzuca się to pytanie nie tylko w odniesieniu do celu ludzkiego istnienia, ale w ostrzejszej jeszcze formie - co do jego początków: "Poprzez jakie to czary wyłoniłem się z pierwotnej mieszaniny materii, z tym niesłychanie skomplikowanym wyposażeniem organicznym, które mnie uzdolnia do życia przez pewien czas na tym świecie, równie niezrozumiałym jak ja sam?" Oto pierwszy sens pytania "dlaczego?". Wprawdzie naukowcy zastąpili je pytaniem "jak?", ale jest ono tylko kamuflażem pytania "dlaczego?". Z kolei powstaje pytanie na temat ludzkiego losu lub przeznaczenia. I to jest drugi sens tego samego pytania "dlaczego?". Na pytanie w tym drugim sensie potrafi odpowiedzieć tylko religia.

Czy trzeba szanować starców?

Nie widać takiej konieczności. Osoby starsze są ciężarem dla społeczeństwa. To one raczej powinny szanować młodzież, która pracuje, aby starszym zapewnić emeryturę. W starożytności starcowi okazywano oznaki czci i poszanowania i rzadko podejmowano poważną decyzję bez zasięgnięcia jego rady. Liczono się z tym, że starszy człowiek przeżył wiele trudnych sytuacji i z tego tytułu mógł się dzielić pouczającymi doświadczeniami ze swoją klasą społeczną lub zgromadzeniem jej członków. Był on człowiekiem mądrym, ponieważ przetrwał, a jego opinie oparte na doświadczeniu były przyjmowane z wdzięcznością. Dzisiaj jednak sprawy mają się zupełnie inaczej. Świat zmienia się tak szybko, że minione doświadczenia nie mają najmniejszej wagi wychowawczej. Tak na przykład na nic by się nie przydały rady człowieka z czasów strzelby odcylkowej w dziedzinie systemu obrony nuklearnej. Żyjemy w świecie bez precedensów, a to pozbawia starca autorytetu, jaki niegdyś posiadał. Co więcej, wiadomą jest rzeczą, że działania pełne rozgłosu były zawsze podejmowane przez młodzież, na długo przed wyczerpaniem się jej ładunku komórek nerwowych. Przykłady: Aleksander, Hoche, Napoleon, Jeanne d'Arc...

A jednak serce czy inteligencja to nie kwestia wieku.

Prawdą jest, że starzy mają mniej wyobraźni niż młodzi. Z tej też racji starzy są mniej podatni na błędy, i to jest po stronie starości cenne.

Wielkie dzieła dokonane w starości są równie liczne, jak arcydzieła wieku młodzieńczego. Rimbaud ołsniewał w dziewiętnastym roku życia. Michał Anioł w swych latach osiemdziesiątych uświetnił freskami Kaplicę Sykstyńską.

Wielcy zdobywcy odznaczają się często młodym wiekiem, ale nie są dobroczyńcami ludzkości. Jeanne d'Arc nie figuruje wśród nich. Nie była ona wielkim dowódcą wojskowym, ale szlachetną postacią, która podjęła wielki trud ratunku duchowego przeznaczenia Francji.

Nie można twierdzić, że w świecie, który zmienia się tak gwałtownie jak nasz, doświadczenie jest bez wartości. Podstawowe pytania dotyczące życia i przeznaczenia są dzisiaj dokładnie takie same jak niegdyś. Zdarza się po prostu to, że współczesne społeczeństwo ma więcej wprawy w ich maskowaniu.

Po wtóre, gdyby inteligencja była proporcjonalna do liczby komórek nerwowych, to pierwsze z brzegu niemowlę byłoby inteligentniejsze od Einsteina. Co więcej, sam Einstein byłby o wiele bardziej inteligentny w momencie, gdy jeszcze niczego nie odkrył.

Wreszcie starzy ludzie zasługują na szacunek nie z racji usług, jakie mogą oddać, lecz właśnie z racji tych usług, których świadczyć nie mogą. Taki jest nakaz moralności.

Przywileje wynikające z wieku?

Czysta iluzja.

Młodość to rozmach życia. Starość to przybliżanie się do śmierci. Nie można dostrzec najmniejszego przywileju w postępującym uwiądzie zmysłów. "Starość to rozbicie się statku", mawiał generał De Gaulle. I wznosił modły do nieba, aby o tym nie zapomnieć przed osiemdziesiątką. Ta jego prośba została dokładnie wysłuchana.

Jedynym przywilejem wieku jest względna nietykalność, na jaką pozwala starszym politowanie ze strony młodzieży. Bardziej więc stosowną byłoby rzeczą mówić o przywilejach młodości, która nosi w sobie nadzieję świata i cieszy się znaczną przewagą z tego tytułu, iż uważa się za wieczną.

A jednak przyszłość młodości, jeśli się ją osiąga, to wiek starczy.

Podeszły wiek niesie ze sobą utrudnienia i nieudolności zbyt znane, aby trzeba je było wyliczać. Najpoważniejszym z jego braków jest egoizm, który objawia się tym silniejszym przywiązaniem do życia, im bardziej staje się ono kruche i zagrożone. Jednakże starość czyni człowieka wyrozumiałym, a jest to rezultat długiego dźwignania ludzkich słabości. Zapewnia ona dojrzałość sądów opartych na doświadczeniu. Upraszcza pracę rozumu, którego nie dezorientuje przesadna wyobraźnia. Można uważać, że takie to są przywileje, i tym bardziej zabezpieczone, że ostatecznie nikt ich nie zazdrości.

Maj 1968?

Rewolucja z maja 1968 nie miała ani we Francji, ani gdzie indziej charakteru ustrojowego, przyniosła jednak poważne zmiany w dziedzinie obyczajów i mentalności. Wyznacza ona granicę dwóch epok: koniec porządku moralnego, początek ery całkowitej wolności jednostki wskutek zerwania wszystkich więzów z rodziną, społeczeństwem, państwem, ideologiami. Wszystkie stare wartości zostały rozszarpane, a rządy, które powstały po tym niszczącym tornado, daremnie usiłowały niektóre z nich uratować.

A jednak podczas tych wydarzeń Andre Malraux powiedział do mnie: "Rewolucja to jakiś typ z karabinem na rogu ulicy". Czegoś takiego nie widziano w roku 1968.

Ruch majowy, w którym lud zupełnie nie brał udziału, chyba jedynie przez to, że odniósł z niego znikome korzyści społeczne, nie był rewolucją, lecz tylko jakimś historycznym wyskokiem, nader kłopotliwym dla władzy, zaskoczony w stanie swojej sytości, dla partii politycznych, zupełnie nie panujących nad sytuacją, i dla Kościołów, zbitych z tropu podobnie jak partie.

Maurice Clavel szukał przyczyny tego dziwnego zjawiska w niebiosach, Edgar Morin - w zbiorowej nieświadomości. Możliwe, że obaj mieli rację, jeśli prawdą jest, że piorun dokonuje połączenia elektryczności nieba i ziemi. Co do nas, powiemy, że w owym czasie duch odwrócił się w grobie, w którym pogrzebał go ograniczony laicyzm Pięknej Epoki, powodując w ten sposób spiętrzenie barykad i zachwianie równowagi instytucji. Na kilka dni zawisły one w powietrzu i zapadły się ponownie w swoich jamach. Kiedy jednak wśród wrzawy i mgławic gazów łzawiących szuka się głębokiego motywu tego wielkiego młodzieńczego widowiska, wydaje się nam, że jest nim całkiem po prostu pragnienie miłości, tłumione przez społeczeństwo bez polotu i bez duszy. Na nieszczęście młodzi bohaterowie owego maja pomylili się co do natury swoich własnych

przeżyć. Pozwolili na to, że ruch nabrał wydzwiku ideologicznego, który wszystko popsuł, i można powiedzieć, że sami stali się ofiarami swojego sukcesu. Opanowała ich ambicja, ale pragnienia się ulotniły. Możliwe, że byliby przemienili świat, gdyby nie usiłowali tego zrobić.

Czy utopie są konieczne?

Oczywiście. Utopie przyczyniają się do postępu społeczeństw. Bez utopii popadłyby one w stan politycznej i moralnej stagnacji, zniechęcającej dla najlepszych, a bardzo sprzyjającej przedsięwzięciom ludzi przeciętnych. Społeczeństwo nie może się obejść bez ideału. To, że jest on nieosiągalny, czyni go trwalszym i dzięki temu bardziej skutecznym.

A jednak w ciągu tego stulecia aż nadto uwidoczniła się szkodliwość utopii faszyzmu, rasizmu i marksizmu.

Od Tomasza Moore'a do Jana Jakuba Rousseau, Proudhona lub Karola Marksa wszystkie utopie lub modele doskonałych społeczeństw mają jeden punkt wspólny: nie liczą się one zupełnie ze złożonością ludzkiej istoty. Jedna z utopii będzie upatrywać w człowieku tylko społeczne zwierzę i przyzna mu nie więcej praw do życia prywatnego niż mrówce lub pszczole. Inna utopia sprowadzi człowieka do jego funkcji ekonomicznej i odrzuci wszystko inne: religię, kulturę, nadzieję, jako dziedzinę marzeń lub metafizycznej aberracji. Co gorsza, utopiści nie dostrzegają lub nie przyjmują do wiadomości, że człowiek jest nie tylko istotą złożoną, ale i pełną wewnętrznych sprzeczności, że przeżywa on burzliwe okresy nieustannego konfliktu między swoimi pragnieniami i swoim sumieniem, między przekonaniami wynikającymi z wiary i czynami, między obowiązkami i słabościami, a nawet między swoimi myślami i opiniami. Doskonałe państwa utopistów są zaludnione przez jednostki schematyczne, przez upiory obywateli, które ledwie żyją, pogrążone w zbiorowym ośpieniu politycznych więzień albo dyszą w stadium larwalnym w ponurych domach publicznych, utrzymywanych przez sekty o aspiracjach religijnych.

Falszem jest mniemanie, że utopie przyczyniają się do postępu społeczeństw. Powodują one ich niezaprzeczalny upadek.

Czy Karol Marks umarł?

Karol Marks popełnił pięć poważnych błędów.

Pierwszy polegał na sprowadzeniu historii do jej założeń ekonomicznych. Tym samym człowiek został zredukowany do bytowania społecznego, podczas gdy wszystko inne uznano za dzieło przypadku lub iluzji. To ściśle materialistyczne widzenie doprowadziło do zaprzeczenia ludzkiej osoby.

Drugi błąd: nie dostrzegął on, lecz być może było to mało widoczne za jego czasów, zmienności klas społecznych. Sądził, że są one na zawsze utrwalone w swojej pozycji.

Trzeci błąd: głosił on coraz bardziej postępującą koncentrację kapitału i nieskończone rozszerzanie się proletariatu. Tymczasem jednak w krajach uprzemysłowionych kapitał się znacznie rozszerzył, podczas gdy proletariat wykazywał tendencję do zaniku.

Czwarty błąd: "człowiek ekonomiczny" nie pozostał tym, czym był w XIX wieku, czyli zwykłą "śrubką maszyny". Dzięki elektronicznej maszynie wzięła maszynę w niewolę.

Wreszcie piąty błąd: sądził, że sama historia przyzna mu rację po krótkim okresie rewolucyjnej przemocy, która okaże się konieczna wskutek sprzeciwu posiadających. Marks myślał, że

"dyktatura proletariatu" potrwa kilka tygodni lub co najwyżej kilka miesięcy, gdy tymczasem przetrwała ona 75 lat, zaś historia podstępnie odrzuciła jego teorię.

Można więc powiedzieć, że Marks umarł, uśmiercony przez marksizm.

A jednak wielki umysł nigdy nie myli się całkowicie we wszystkich zagadnieniach.

Jeżeli teoria Marksa została odrzucona przez historię w krajach uprzemysłowionych, zachowuje ona swoją niebezpieczną moc w skali świata, w którym niewiele jest krajów bogatych (wymienia się ich zaledwie siedem), podczas gdy ludność krajów proletariackich powiększa się z dnia na dzień w proporcjach, które muszą niepokoić. Między "krajami najbardziej uprzemysłowionymi" i masą innych istnieje przepaść, powodująca walkę klas zgodnie z tezą marksistowską.

Z drugiej strony jest rzeczą oczywistą, że kraje kapitalistyczne biorą pod uwagę jedynie ekonomiczne i finansowe elementy życia społecznego, lekceważąc wszystko inne oraz pozostawiając dla ducha jedynie pobrzękiwanie i migotanie, na ogół dziwacznych, rozrywek kulturalnych. Człowiek nie jest u nich niczym więcej, jak konsumentem części wielkiego rurociągu gospodarki rynkowej. Kraje te są ściśle materialistyczne i bezwiednie wchodzą w logikę marksistowską.

Karol Marks nie umarł. On tylko jest w stanie hibernacji.

Co to jest demokracja?

Według Amerykanów, są to "rządy ludu, sprawowane przez lud, dla ludu". Według Jana Jakuba Rousseau, duchowego ojca nowożytnego świata, demokracja to królowanie "powszechnej woli".

Takie są najbardziej odważne definicje demokracji, ale obie są pod względem politycznym złudne i jałowe. Nie stwierdzono bowiem nigdy, aby jakiś naród rządził sam sobą, chyba z jedynym wyjątkiem miniaturowych regionów Szwajcarii, gdzie można zgromadzić całą ludność wioski i pytać o jej zdanie w każdej sprawie. Jeśli chodzi o "powszechną wolę", której nie należy mieszać z wypowiedaniem się większości obywateli, zakłada ona przekreślenie woli wszystkich poszczególnych ludzi, a więc swego rodzaju wyrzeczenie, z którym można się zetknąć chyba jedynie w zakonach kontemplacyjnych. Demokracja więc nie istniała nigdy ani nigdzie, jeśli nie brać pod uwagę dwóch przed chwilą wspomnianych drobnych wyjątków, z których drugi jest zresztą mało przekonujący, bo klasztory zbliżają się raczej do ustroju monarchicznego.

A jednak demokracja jest systemem rządów najpowszechniej dzisiaj przyjmowanym i trzeba wierzyć, że on jest, skoro tyle narodów się do niego przyznaje.

Formuła amerykańska w sposób romantyczny przypomina, że w zwykłej demokracji do narodu należy pierwsze i ostatnie słowo. Pierwsze przez wyłonienie wybranych reprezentantów, ostatnie - przez ich ewentualne odwołanie. W przerwie między tymi decyzjami nie ma on głosu.

Teoria Jana Jakuba Rousseau jest niewykonalna, zgodnie zresztą z opinią jej autora. Stała się ona jednak natchnieniem całej nowożytnej myśli politycznej i poszła w ciągu historii w dwóch kierunkach. Jeden doprowadził do totalitaryzmu, gdzie przez stopniowe przekreślanie woli jednostek wola powszechna znalazła w końcu wyraz w jednym człowieku, który żywi przekonanie, iż zbiega się ona z sensem historii. Drugi kierunek wyznaczają demokracje mieszczańskie, w których wola większości obywateli zajmuje miejsce woli powszechnej. Jest to herezja, której skutki są następujące: po pierwsze pozbawia ona jednostki pewnego rodzaju duchowej wolności, którą mogłyby osiągnąć, zdaniem Rousseau, w wyrzeczeniu się własnej woli; po drugie - utrwala

ona wewnętrzne konflikty społeczne, konflikty, które następstwo władzy osłabia, ale ich nie rozwiązuje.

Ostatecznie wszystkie demokracje mieszczańskie mają poczucie winy, w miarę jak nie potrafią, bez zniszczenia samych siebie, zapewnić każdej jednostce całkowitej wolności, która powinna być wypływać z jej zasadniczej niezależności.

Jednakże demokracja typu zachodniego, chociaż zrezygnowała z osiągnięcia ideału Jana Jakuba Rousseau, daje obywatelowi szereg możliwości wyrażenia sprzeciwu wobec samowoli, chroni go przed absolutyzmem, a przez to okazuje się systemem rządzenia najbardziej tolerancyjnym na świecie i najbardziej znośnym.

Demokracja czy republika?

Są to dwa sposoby określania tej samej formy władzy pochodzenia ludowego. Na przykład republika francuska jest demokracją, demokracja amerykańska jest republiką.

A jednak istniały republiki, które wcale nie były demokratyczne, jak na przykład Republika Wenecka, i były demokracje nie będące republikami, jak "demokracje ludowe" Europy wschodniej od roku 1946 do 1989.

Trzeba rozróżnić.

Republika jest systemem rządów opartym na prawach, przypuszczalnie wyrytych w brązie, jak to było niegdyś z prawami ludu etruskiego. Prawa te są niezienne i wyrażają zasady moralności publicznej, którym każdy winien okazać posłuszeństwo. W tym znaczeniu można powiedzieć, że lud prowadzony przez Mojżesza był pewnego rodzaju republiką, gdyż nikomu nie było wolno zanegować lub przekroczyć choćby jedno z Przykazań.

Demokracja jest systemem rządów sprawowanych przez prawodawców wybieranych i odwoływanych przez lud. Adaptują oni lub zmieniają prawa, zależnie od stanu obyczajów lub humorów i wahań opinii publicznej. Są to więc dwie odrębne formy władzy. Wszystkie problemy polityczne współczesnych społeczeństw wynikają z trudności pogodzenia tych dwóch systemów. Jeden z nich prowadzi do konserwatyzmu, drugi powoduje niestałość.

Liberalizm czy socjalizm?

Ludzie mają możliwość wyboru jedynie między dwoma wielkimi systemami społeczno-politycznymi - liberalizmem i socjalizmem.

Liberalizm jest empiryzmem polegającym na prawie rynku, nazywanym także prawem podaży i popytu. Odnosi się on z zaufaniem do inicjatywy prywatnej, do ducha przedsiębiorczości, i (ponieważ jego siłą napędową jest prywatna korzyść, czy to gdy wynika ona ze zdolności, czy z mniejszych lub większych ambicji) system ten sprzyja nierównościom które powodują społeczny rozwój z uszczerbkiem dla sprawiedliwości.

Socjalizm te właśnie nierówności nazywa niesprawiedliwością i poczuwa się do obowiązku ich usuwania przez znaczne ograniczenie inicjatywy prywatnej, co w efekcie powoduje obniżenie ogólnego poziomu życia, a skala równości nie podnosi się zbyt wysoko.

Trzeba więc wybrać między systemem, który sprzyja bogaceniu się najdolniejszych i pozostawia

niewielką korzyść innym, oraz systemem, który chce uchodzić za bardzo zgodny z moralnością, ale który posiada coraz mniej zasobów do podziału. Dotąd nikomu nie udało się w sposób zadowalający połączyć zalet obu systemów.

A jednak dość często ludzie dochodzą do zsumowania ich braków.

Liberalizm i socjalizm to dwie postacie materializmu: pierwszy jest praktyczny, drugi doktrynalny. Mogą one poprawić swoje braki, jedynie przekraczając same siebie. Liberalizm, jeśli przyłoży się do przemiany społeczeństw anonimowych w społeczeństwa osób. Socjalizm, jeśli przyhamuje właściwą mu tendencję despotycznego ingerowania we wszystkie dziedziny, w których wolność wydaje mu się sprzeciwiać równości.

Ludzka osoba jest traktowana jak wróg przez oba systemy, z niejednakowym wszakże okrucieństwem. Liberalizm podporządkowuje ją prawu sukcesu, który zatwardza serca lub je poniża. Socjalizm zmusza ją do posłuszeństwa, które powoduje jej degradację w totalitaryzmie, będącym fatalnym uwięzieniem wszelkich ideologii.

Te dwa sposoby przekreślania jednostek nie uszczęśliwiają ducha. Dlatego, w myśl powiedzenia Simone Weil, trzeba być zawsze gotowym "zmieniać pole walki o sprawiedliwość".

Jaki jest najlepszy system polityczny?

Montesquieu, będący autorytetem w tej materii, rozróżnia trzy formy rządów: monarchię, arystokrację i demokrację. Każda z nich przybiera pewne warianty. I tak monarchia może być absolutna lub konstytucyjna; arystokracja może otrzymywać władzę od niewielkiej części ludu, najstarszej lub najbogatszej; demokracja może być bezpośrednia, jak w Szwajcarii, lub pośrednia, jak w większości krajów rozwiniętych, gdzie władza jest sprawowana poprzez wydelegowanie ciała elektorskiego. W monarchii władza pochodzi przypuszczalnie z nieba, w arystokracji jest dziełem fortuny lub przewagi wojskowej, w demokracji siedziskiem najwyższej władzy teoretycznie jest lud.

Każdy z tych systemów ma swoje zalety. Monarchia zapewnia gwarancję religii, arystokracja odznacza się doświadczeniem władzy, demokracja cieszy się przyzwoleniem ludu. Wydaje się, że połączenie tych trzech zasad rządzenia dałoby lepsze rezultaty niż przyjęcie tylko jednej z nich i byłoby bardziej korzystne dla publicznego dobra.

A jednak połączenie tych trzech sposobów wykonywania władzy było dziełem systemów totalitarnych. Przywódca - dysponował uprawnieniami monarchy absolutnego, jego partia stanowiła swego rodzaju arystokrację, a przyzwolenie ludu bywało osiąganym poprzez plebiscyt podobny do testamentu, po którym lud umierał.

Montesquieu był wielkim myślicielem, ale jego niechęć do metafizyki przysłoniła mu jedną stronę zagadnienia. Systemy polityczne należy rozróżniać nie tylko ze względu na ich pochodzenie, lecz bardziej jeszcze z uwagi na ich celowość.

Wywodząca się z ustanowienia Bożego monarchia, której modelem poprzez wieki była Francja, nie ma żadnego związku z monarchią konstytucyjną, będącą nieprawą odmianą demokracji, ani z owymi monarchiami bałwochwalczymi, których przywódca, nie namaszczonej, ale sakralizowanej, wystawiał swe wizerunki do publicznej czci w świątyniach. Oryginalność monarchii opartej na prawie Bożym polega na tym, że była ona zamknięta na ten świat i otwarta na tamten. Nie można było niczego zmienić w utrwalonym porządku, ale porządek ten nie był celem sam dla siebie. Jego

ukrytą misją było podtrzymywanie społeczeństwo w dążeniu do zbawienia. Nie trzeba dodawać, że władza nie zawsze, a może nawet niezbyt często, miała jasną świadomość tego obowiązku. Niemniej jednak obowiązek ten tkwił w samej zasadzie prawa Bożego.

Władza arystokratyczna nie ma innego celu, jak zachowanie samej siebie. To już wystarczy, aby nabrać do niej obrzydzenia, choćby nawet była wykonywana z talentem. A ponieważ nie zależy ona ani od Boga, ani od ludzi, utrzymuje się dzięki sile, korupcji i podsycaniu wszelkich podziałów społecznych. To w końcu doprowadza do jej samozniszczenia.

Celem demokracji jest zniesienie władzy publicznej przez nałożenie na siebie (a jeśli to możliwe, zniesienie) organów rządu. Władza prawodawcza, wykonawcza i sędziowska wzajemnie się neutralizują, aby w końcu doprowadzić do sytuacji idealnej, w której obywatel w pełni korzysta ze swej wolności, bez kontroli i przymusu. Tego ideału nie osiągnięto jeszcze w żadnym kraju, niemniej jednak wszystkie społeczeństwa demokratyczne znajdują się mniej lub bardziej świadomie pod jego wpływem.

Rewolucje?

Nędza ludów, obrażająca godność człowieka, jest przyczyną wszelkich rewolucji. W roku 1789 lud Paryża domagał się chleba i równocześnie nie mógł już dłużej znieść pogardy, mniej lub bardziej wyraźnie nacechowanej nieszczera dobroczynnością ludzi, których nazywano "urodzonymi", aby w ten sposób dać do

zrozumienia, że inni nawet nie przyszli na świat. W roku 1917 rewolucja rosyjska wybuchła na tle cierpień nędzarzy, podobnie jak w roku 1930 rewolucję hitlerowską podsycali nieszczęścia narodu niemieckiego. Zamachy stanu, wojskowe przewroty, obalenie jednych książąt przez drugich i różnorakie formy przemocy, pozwalające ludziom ambitnym zagarnąć władzę, nie zasługują na miano rewolucji, ponieważ nie powodują żadnej głębokiej zmiany w życiu społecznym. Prawdziwa rewolucja zmienia bieg historii.

A jednak jeśli nędza i pogwałcenie ludzkiej godności wyjaśniają zjawisko rewolty, nie wyjaśniają one rewolucji.

Wszystkie nowożytnie rewolucje mają wspólne, odległe i na ogół niezauważalne, metafizyczne pochodzenie. Rewolucja Francuska, która jest ich matką, lub przynajmniej ich wzorem, nie zaczęła się w roku 1789, lecz o wiele wcześniej, około połowy XIII wieku, kiedy historia przestała się obracać wokół Boga, aby się kręcić wokół człowieka. Była to niesłychanie gwałtowna zmiana, której doskonałą ilustracją jest definitywne przejście od stylu romańskiego do gotyckiego.

Ostrołuk oznacza złamanie przymierza. Romańskie sklepienie obejmowało symbolicznie niebo i stwarzało Bogu miłą siedzibę, geometrycznie prostą i ujmującą. Gotycki zryw pochodzi z zupełnie innej inspiracji. To człowiek wznosi się w kierunku firmamentu, ale nie można z całą pewnością powiedzieć, czy robi to w tym celu, aby złożyć Bogu wizytę w Betlejem, czy też aby się upewnić, że On nie istnieje. Dalsze koleje historii aż do naszych dni to nic innego, jak powolny i nie dający się

powstrzymać postęp owej początkowej przemiany, kiedy to człowiek, który szukał Boga, będzie już szukał tylko człowieka. Wszystkie rewolucje mają czysto duchowe pochodzenie. Następną dokona się pod ziemią, kiedy człowiek, który przez wieki powtarzał, że "Bóg umarł", pójdzie Go poszukiwać w nowych katakumbach.

Czy teokracja jest dobrym systemem rządu?

Niewątpliwie. System, w którym pochodząca od Boga władza jest wykonywana przez ministrów do spraw kultu albo pod ich nadzorem, musi spotkać się z uznaniem chrześcijan.

A jednak Ewangelia nakazuje oddawać to, co cesarskie, cesarzowi, a to, co Boże - Bogu. Zgodnie więc z nauką chrześcijańską, istnieje konieczne oddzielenie władz.

Spośród wszystkich systemów politycznych teokracja jest na pewno dla chrześcijan jednym z najgorszych. A to z prostej przyczyny: żaden system polityczny nie mógłby wprowadzić w praktykę Ewangelii z całym jej radykalizmem, nie niszcząc równocześnie samego siebie. Nie potrafiliby na przykład wypracować kodeksu karnego, nakazującego wymiarowi sprawiedliwości przebaczać przestępcy siedem razy po siedemdziesiąt siedem razy. Nie mógłby też wymagać, aby ludzie, którzy stali się ofiarami przemocy, nadstawiali lewy policzek, gdy uderzono ich w prawy. Teokracja opierałaby się więc na podwójnym systemie moralnym: jednym dla państwa, drugim dla jednostek. Byłaby to dwoistość zakrawająca na obłudę. Rozdzielenie Kościołów i państwa jest więc rzeczą dobrą. I trzeba zauważyć, że datuje się ono nie od roku 1905, ale od czasów Ewangelii.

Kara śmierci?

Zwolennicy kary śmierci twierdzą, że choć nie ma ona skutku odstrasżającego, zapobiega w każdym razie recydywie; że niektórzy kryminaliści uświadamiają sobie popełnione przestępstwo dopiero wtedy, gdy stają wobec jego fatalnych skutków. Tylko to może ich doprowadzić do szczerzej skruchy i nie ma powodu, aby ich tego pozbawiać. Paradoksem byłoby znosić karę śmierci, a równocześnie popierać aborcję. Ich zdaniem, tak zwane kary zastępcze, jak dożywotnie więzienie, są jedynie powolnym, okrutnym i obłudnym zastosowaniem kary śmierci, co prowadzi do tego, iż skazaniec ostatecznie umiera w upodleniu. Jeżeli w czasie wojny za normalne uważa się rozstrzelanie zdrajcy lub szpiega, który naraża na niebezpieczeństwo swoich towarzyszy walki, równie normalne byłoby zgładzenie osobnika mordującego starców, kobiety lub bezbronne dzieci, których wartość nie jest mniejsza niż żołnierzy. Co więcej, jeżeli w niektórych krajach kara śmierci z racji humanitarnych została zniesiona, nieco później przywrócono ją z tych samych powodów.

A jednak zniesienie kary śmierci jest powszechnie uznawane za znak postępu współczesnej cywilizacji.

Przytoczone wyżej argumenty są do przyjęcia, a nawet można by je uzupełnić stwierdzeniem, że niegdyś wierzący ludzie odbierając życie przestępcy sądzili, iż ratują jego wieczność. Ale przecież nie można zabić kogoś z zimną krwią, chyba tylko w przypadku całkowitej i podejrzanego niewrażliwości. Przecież skazany na śmierć tak naprawdę umiera trzykrotnie: gdy dowiaduje się o wyroku, kiedy przed egzekucją oznajmia mu się, że nie został ułaskawiony, wreszcie kiedy faktycznie zostaje wydany na śmierć. Dlatego kara śmierci jest fizycznie niemożliwa do zastosowania. Jej zniesienie wynika tylko z uświadomienia sobie tej niemożliwości.

Sekty?

Wiele osób młodych lub mniej młodych, niespokojnych albo osamotnionych, znajduje w sektach schronienie przed światem, jakieś ciepło wspólnoty, uproszczone życie duchowe, a szczególnie pewność co do przyszłego losu, o którym Kościoły wypowiadają się z coraz większym wahaniem. Kierownictwo nauczyciela myślenia lub "guru" uwalnia ich od niepokoju i sprowadza dobrodziejstwo posłuszeństwa, które wyzwala ich od nich samych. Nieudolność Kościołów w dziedzinie mistyki przyczyniła się do rozkwitu sekt, które rozmnożyły się w Afryce, w Ameryce, a nawet w Europie w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

A jednak wielu z tych rzekomych specjalistów od duchowości, których nazywa się "guru",

wciągnęło swoich nieszczęsnych uczniów w jakieś ostateczne zarzewie, które przypomina nie tyle najwyższą ofiarę wiary, ile śmierć skorpioną.

Sekta jest przedsięwzięciem, które przemyślnie żeruje na naiwności lub zagubieniu prostych serc, a guru zbijają ogromne fortuny, ucząc bezinteresowności. Przypisują sobie znajomość najgłębszych tajemnic życia i śmierci i dają chętnie do zrozumienia, że w ich osobach kryje się coś z bóstwa. Ich nauka jest najczęściej cikliwą mieszaniną bezładnych i mdłych pojęć, zapożyczonych ze wschodnich technik duchowości i resztek myśli chrześcijańskiej. Zdarza się również, że ich klasztory są zwyczajnymi domami publicznymi, gdzie młodzież traci ostatki świeżości, której jeszcze nie zniszczyło w niej ogłupienie różnymi teoriami. Mówienie o "mistycyzmie" sekt to godne ubolewania nadużycie słowa. Mistycyzm wschodni jest metafizyczną wzniosłością, o której sekty nie mają najmniejszego pojęcia, a mistyka chrześcijańska jest wewnętrznym żarem, którego przyczyna jest im zupełnie nie znana.

Niezbyt słuszną jest rzeczą przypisywać nieudolności Kościołów godny pożałowania rozwój sekt. To prawda, że Kościoły nie są doskonałe, ale w odróżnieniu od sekt one o tym wiedzą, a nawet niekiedy o tym mówią. To one jedyne na tym świecie przyznają się do swoich niedoskonałości. I tym powinny sobie zaskarbić przyjaźń ludzi, którzy też wcale nie są doskonali.

Bóg?

To pytanie, jakie wszyscy sobie stawiają, ale nikt nie potrafi na nie odpowiedzieć. Bo chociaż jest prawdą, że idea Boga odegrała zasadniczą rolę w historii ludzkości, niemniej prawdą pozostaje, że istnienia Boga nie udowodniono nigdy w sposób niezaprzeczalny. Wiara nie opiera się na rozumie, ale na pewnej sumie niesprawdzalnych świadectw (takich jak Mojżesza czy świętego Pawła). Umysł naukowy jest zmuszony je odrzucić i to z dwóch przyczyn: owe jednostkowe doświadczenia nie mogą być ani zweryfikowane, ani odtworzone. Najlepiej więc będzie zrezygnować z umieszczania Boga w zasięgu ludzkiego poznania, jak to zresztą czyni obecnie sama religia, gdy nazywa go "zupełnie Innym lub "Niepoznawalnym", uchylając się w ten zręczny sposób od dyskusji.

A jednak, zgodnie z trafną uwagą pewnego rabina, dla naszego umysłu najważniejszą sprawą jest Bóg, "czy istnieje, czy nie istnieje".

Rozum nie tylko jest w stanie udowodnić istnienie Boga, ale też nigdy nie udało mu się udowodnić czegoś innego. I jedynym sposobem, jaki znajdował, aby uniknąć tego wniosku, było popadnięcie w wątpliwość.

Można pytać, ile jeszcze czasu potrzebować będzie ludzki umysł, aby dostrzec, jak oczywistą, genialną i radośnie realistyczną jest idea "stworzenia przez Boga", gdy się ją porównuje z racjonalistycznymi mrzonkami ubitej na pianę nicości, która myśli.

Nasze ograniczenia?

Rozmiary człowieka są tak szczupłe, że śmieszne się wydają jego usiłowania, aby wywierać wpływ na świat. Bo zakres częstotliwości, jakie jesteśmy w stanie zarejestrować, należy do najbardziej zredukowanych. Nasze spostrzeżenia zmysłowe zajęłyby zaledwie kilka milimetrów na taśmie długości kilometra. Nasz rozum jest ograniczony i nie pojmuje istoty czasu, przestrzeni, próżni, a nawet treści swoich własnych wypowiedzi, takiej na przykład, która sugeruje, że "wszechświat nie ma sfery zewnętrznej". Lepiej więc zrezygnować z ogarnięcia nieba i ziemi myślą, która opiera się na tak wątpliwych możliwościach.

A jednak Albert Einstein twierdził, że rzeczą najcudowniejszą na świecie byłoby to, gdyby ten świat był poznawalny.

Ograniczenia ludzkiej istoty są cudownym dobrodziejstwem, za które trzeba Bogu dziękować, gdyż natura jest obojętna na świadectwo wdzięczności.

Nie wiem, jaki rodzaj aparatury zmysłów pozwoliłby nam zarejestrować równocześnie wszystkie częstotliwości i drgania wszechświata, ale jest możliwe, że stracilibyśmy w tym muzykę, malarstwo i wszelkie formy kompozycji artystycznej w zamian za niezwykle szum, połączony z oślepiającym drganiem nieuchwytnych kolorów. Nie znalazłbyśmy boskiej "proporcji", o której już była mowa - tej przedziwnej zgodności między tym, co skończone i nieskończone; nie zwrócilibyśmy uwagi - dzięki miłosiernej fałszywej nucie - na to, że zachodzi niezgodność z pewną tajemniczą harmonią wszechświata, której śpiew dociera do nas jedynie w niemej formie matematyki.

Rodzina?

Rodzina, będąca wartością społeczeństw pierwotnych i burżuazyjnych, została poważnie zachwiana wskutek upadku ducha religijnego, w wyniku kompromisu historycznego z rządem w Vichy, rewolucji kulturalnej z maja 1968 roku i oczywiście wskutek upowszechnienia się rozwodów oraz rozszerzenia się praktyki celibatu. Do tych przyczyn rozkładu trzeba dodać pracę kobiet, które oddają swe dzieci do żłobków i nie spełniają już tradycyjnej roli strażniczek domowego ogniska. Do tego dochodzi rozwój życia społecznego, utrudniający rodzinie skupienie się na samej sobie, jak to się działo niegdyś. Krótko mówiąc, rodzina przestała być wartością nadrzędną; autorytet ojca jest już tylko wspomnieniem, a matka nie wywiera już tego wpływu, jaki miała niegdyś. Chociaż bowiem ustawy odmawiały jej wielu uprawnień, wiele z nich przyznawała jej natura. Wydaje się więc, że można przeprowadzić rodzinę przez ten bilans korzyści i strat epoki nowożytnej i że młodzież osiągnęła w tej dziedzinie dużo swobody.

A jednak rodzina jest instytucją naturalną.

1. Nawyk chodzenia na dwóch nogach jest również nawykiem pierwotnym. I nikomu nie śniło się, aby z nim zrywać, choć został przyjęty także przez mieszczaństwo.
2. Prawdą jest, że rząd z Vichy w napisie utrwalonym na frontonie swej siedziby zamiast dewizy republikańskiej "Wolność, Równość, Braterstwo" umieścił Rodzinę obok Pracy i Ojczyzny. Z tego jednak, że jakiś zły rząd czuje się uprawniony do obrony pewnej wartości, nie wynika, że ta wartość staje się przez to złem.
3. Jak to zwykle bywa, przypisuje się religii to, co istniało przed nią, i co ona tylko skodyfikowała. Instynkt rodzinny istnieje u wielu zwierząt, które nie chodzą na Mszę, a zwierzęta są dalekie od dawania ludziom złego przykładu.
4. "Rewolucja" z maja 1968 była omawiana w jednym z poprzednich rozdziałów. Tutaj zauważmy tylko, że to nie dzieci maja spowodowały największe spustoszenia instytucji rodzinnej. Przyczyną tego stali się dorośli przez swoje niezdecydowanie moralne i przez swoją skłonność do unikania odpowiedzialności.
5. Prawdą jest, że rodzina cierpi coraz dotkliwiej wskutek wzrostu liczby rozwodów, ale każdy dostrzega, że ten stan rzeczy najbardziej naraża na cierpienie dzieci. I to przemawia nie tyle za niszczeniem wartości rodzinnych, ile za ich ratowaniem.

6. Wnioski, jakie się wyprowadza z faktu pracy kobiet, są fałszywe. Kobiety dźwigają podwójny ciężar - pracy i rodziny - z odwagą, do której bardzo niewielu mężczyzn byłoby zdolnych. Za to należy się kobietom podziw i wdzięczność, które winny wpływać raczej na zacieśnienie więzów rodzinnych niż na ich rozluźnienie.

7. Rodzina nie jest bynajmniej wynalazkiem Kościoła ani państwa burżuazyjnego. Od stu lub dwustu lat oskarżają rodzinę mierni pisarze, zawzięci w zwalczaniu wszelkiej postaci moralności, która by mogła obnażyć ich mierność. Wprost przeciwnie, rodzina, będąc schronieniem przed przeciwnościami, jest zarazem komórką oporu wobec ucisku, tak silną i tak dobrze zbudowaną, że tyranie totalitarne zawsze stawiają sobie jako pierwsze zadanie, aby tę komórkę rozbić. Werbują dzieci do ponurych oddziałów w krótkich spodenkach i usiłują nawet wprowadzić donosicielstwo w rodzinach. Peguy mówił: "Prawdziwym bohaterem czasów nowożytnych jest ojciec rodziny". Rodzina jest podobna nie tyle do instytucji mieszczańskiej, ile raczej do małego stowarzyszenia buntowników, którzy jednoczą się przeciwko wszelkim przejawom zewnętrznego nacisku. Nonkonformizm polega dzisiaj na obronie rodziny, a nie na jej zwalczaniu.

"Bioetyka"?

Potężny rozwój nauk o życiu wywołał po drodze mnóstwo problemów sumienia, nie znanych w minionych wiekach, a dotyczących między innymi nadliczbowego embrionu, pochodzącego z zapłodnień dokonywanych drogą medyczną, problemów związanych z manipulacjami genetycznymi, z "matkami nosicielkami", z eutanazją, z przekazywaniem organów. Są to kwestie, których nie są w stanie rozwiązać ani systemy filozoficzne, ani religijne, a to z braku kompetencji czy informacji naukowej.

Prawie wszędzie zostały więc ustanowione "komitety etyki", często nawet w szpitalach, aby wypracować swego rodzaju sposób użycia ludzkiej istoty i ustalić granice, jeśli nie dla badań - co byłoby rzeczą niemożliwą i niezbyt pożądaną - to przynajmniej dla praktycznego zastosowania odkryć laboratoryjnych. To właśnie określa się mianem bioetyki. Jest to nowa i mająca przed sobą wielką przyszłość gałąź wiedzy, w której przedstawiciele filozofii i religii, dziedzin w równej mierze ogarniętych bezradnością, odgrywają jedynie rolę zwykłych konsultantów.

A jednak komitety "bioetyki" ograniczają się jedynie do publikowania zaleceń nie mających waloru zasad. Odnosimy wrażenie, iż owe komitety oczekują, aby nowe odkrycia wybawiły je od trosk, jakich przysporzyły im odkrycia dotychczasowe.

Etyki (lub "bioetyki") nie można oprzeć na innej podstawie, jak tylko na wyrazistej koncepcji człowieka.

Jeśli jest on jedynie zwierzęciem podobnym do innych, owszem, wyposażonym w pewne dodatkowe uzdolnienia, lecz nie dość odróżniające go od "niższych braci", wówczas nie ma żadnego powodu, aby człowieka traktować inaczej niż cielę, poddane działaniu hormonów, lub świnie, u której dokonano przeszczepu. Jego embrion nie przedstawia większej wartości niż u innych ssaków i można go w dowolny sposób zamrażać, wykorzystywać w laboratorium lub zniszczyć, określiwszy go wcześniej przy pomocy słownego wybiegu jako "preembrion" lub jako "istotę ludzką potencjalną". Rozumie się oczywiście, że to, co jest potencjalne, nie posiada jeszcze rzeczywistego istnienia, więc zniszczenie takiej istoty nie jest żadną stratą.

Zupełnie inaczej wygląda sprawa, jeśli ludzka istota ma jakieś wieczne przeznaczenie, jak to przyjmują niektóre systemy metafizyczne i jak głoszą jeszcze religie. W takim przypadku

celowość istnienia człowieka wchodzi w rachubę od samego jego początku i przerwanie tego istnienia jest zabójstwem, choćby nawet ów początek wieczności przedstawiał się w małej postaci embrionu. Otóż komitety etyki, jeśli nawet przyjmują do wiadomości stanowisko religii, nie mogą "naukowo" zaakceptować ich boskich perspektyw, lecz zadowolają się określeniem prawidłowości dokonywania przeszczepu lub sztucznego zapłodnienia. Dostarczą nam one swego rodzaju skład zasad postępowania, który jednak powstrzyma się od wyciągnięcia wniosków, ilekroć wyłoni się pytanie, wymagające wprawdzie zdefiniowania ludzkiej istoty.

Jak dotąd, jeśli pominiemy niektóre zdrowe zalecenia praktyczne dotyczące przekazywania organów lub "matek nosicielek", musimy stwierdzić, że "bioetyka" potrafiła jedynie wykazać z bolesną oczywistością, iż nie wiemy, kim jesteśmy.

Papież i my?

Jan Paweł II odznacza się otwartością umysłu na wszystkie kwestie społeczne, wykazuje jednak niemodną surowość w dziedzinie życia osobistego. Nie rozumie świata, w którym żyje: potępia spędzanie płodu, antykoncepcję, zapłodnienie w probówce, stosowanie prezerwatywy. Nawet chrześcijanie, w każdym razie chrześcijańscy intelektualści i dziennikarze, mniej lub bardziej otwarcie buntują się przeciwko jego nauczaniu, którego zresztą nikt nie przestrzega. I wychodzi to na szkodę jego popularności, która była ogromna.

A jednak pierwszą troską Papieża musi być to, aby bardziej podobać się Bogu niż ludziom, choćby nawet byli dziennikarzami.

Prawdą jest, że Papież potępia różne współczesne sposoby rozumienia lub praktykowania miłości, ale nie potępia absolutnie nikogo z ludzi. W ten sposób doskonale naśladuje swojego Mistrza, Jezusa Chrystusa, który na przykład w poniedziałek bardzo surowo określa prawa małżeństwa, a we wtorek przebacza cudzołożnej kobiecie, czy też nawiązuje olśniewającą rozmowę z Samarytanką, która miała pięciu mężów, a teraz żyje w konkubinacie z szóstym towarzyszem.

Dzisiejszy świat woli legalizować cudzołóstwo, a wkrótce może uznać je za obowiązujące; nie zrozumie on nigdy, że chrześcijaństwo - to kodeks, poza którym są jedynie wyjątki.

Narkotyki?

Według Karola Marksa, religia była "opium dla ludu". Czasy się zmieniły i można dzisiaj powiedzieć, że to opium stało się religią ludu, gdyż użycie środków odurzających aż tak dalece się rozpowszechniło w naszych społecznościach. Handel narkotykami należy do najbardziej rozwiniętych na świecie, a kryzys i recesja nie wpływa bynajmniej na jego osłabienie, owszem, żeruje on na tych zjawiskach, podobnie jak na wszystkim, co może ludzi niepokoić lub prowadzić do rozpacz.

Bicz ten zaczyna dosięgać dzieci, i to w coraz wcześniejszym wieku. Spustoszenia przezeń powodowane sumują się z następstwami epidemii aids. Niemożliwą jest rzeczą ujarzmić handel narkotykami, który mimo stosowanych represji coraz lepiej się organizuje. Wydaje się więc wskazane i rozsądne, aby sprzedaż narkotyków "miękkich" była dozwolona i aby użytkownicy narkotyków "twardych" otrzymali nowe strzykawki. A zresztą, czyż człowiek jako istota wolna nie może żyć, jak mu się podoba? Jakim prawem państwo miałoby mu zakazywać wstępu do sztucznych rozkoszy raj, skoro nie potrafi mu zapewnić znośnego życia na ziemi?

A jednak legalizowanie zła nie jest najlepszym sposobem, aby się go pozbyć.

Ciągłą pokusą zachodnich systemów rządzenia jest kodyfikowanie tego, czego nie chcą zabronić, oraz przeświadczenie, że kapitulacje są zwycięstwami. I tak na przykład zalegalizowanie aborcji powitano jak wielki sukces w stosunku do zabiegów potajemnych i wmówiono kobietom, że to zło natychmiast stało się dobrem. A tymczasem dla kobiet, które zastosowały to dramatyczne kręctwo z powodów, których nikt nie jest upoważniony osądzać, owo zło jest źródłem cierpienia i udręki, jakich żadne prawo nie potrafi załagodzić.

Na temat narkotyków powiedziano i napisano wszystko. Obnażono drobiazgowo wszelkie ich zgubne skutki. Z ogromną kompetencją i wspaniałomyślnością przestudiowano każdy sposób zwalczania tej plagi. Zapomniano wszakże o jednym: o wczesnym wychowaniu duchowym. Zaprzeczono, że jest to warunek nieodzowny do kształtowania charakteru i że - poza przypadkiem szczęśliwego obdarowania przez naturę - tylko w ten sposób można człowieka uzbroić w zdolność do moralnego sprzeciwu. W naszych szkołach cieszy się szacunkiem poziom inteligencji, często także moralność społeczna, niekiedy obywatelska powinność, ale od stu lat nie ma tam prawa przebywać duch, i to z racji jego przykrych powiązań z religią.

Gdy mówię o duchu, mam na myśli ową czystą podatność na to, co boskie, czyli na to, co absolutne i wieczne. Lekceważenie tej podatności jest wielce niebezpieczne, bo jeżeli jest źle ukierunkowana, przybiera charakter przerażająco szkodliwy i niszczący. W naszych szkołach nie ma wykładów o życiu duchowym, i jeżeli tak będzie dalej, to wkrótce dzieci w przedszkolach będą po kryjomu wymieniać między sobą banknoty i kule do gry.

I nie zapominajmy o odpowiedzialności dorosłych. Ich sceptycyzm i ponuractwo zbyt często każą dzieciom sądzić, że czeka je jedynie przyszłość bezrobotnych na zasiłku, a w końcu beznadziejna sytuacja bezrobotnych pozbawionych wszelkich praw. Kiedy gospodarka jakiegoś kraju rozwija się pomyślnie - optymizm jest dziecinadą, kiedy wszystko się wali - optymizm jest obowiązkiem.

Historia?

Często się mówiło, że historia jest pamięcią ludzkości, że naród bez historii, cierpiący na amnezję, nie wiedziałby nic o sobie, byłby pozbawiony tożsamości i stanu cywilnego. Jego istnienie nie miałoby większej wartości niż istnienie stada owiec lub chmury komarów, które przecież nie tworzą narodu. Historię poznajemy poprzez przekaz ustny, przez literaturę, przez pomniki przeszłości i dzięki wszelkim śladom, jakie człowiek może pozostawić, przechodząc przez tę ziemię. Przyjmuje się powszechnie, że historia ma pewien sens lub pewien kierunek, w jakim ludzie nieodparcie zdążają od swych początków zwierzęcych do doskonałości, osiągając powoli, mimo pewnych okresów zahamowania, pełnię władzy nad przyrodą i nad sobą. Można dlatego mówić o Historii pisanej dużą literą, gdyż tworzy ona stopniowo ową sprawę, jaką ludzkość rozgrywa z mniejszym lub większym powodzeniem przeciw nieprzychylniej dyktaturze tego, co starożytni nazywali Przeznaczeniem.

A jednak Szekspir mówił, że życie to "nic nie znacząca bajka, pleciona przez głupca, pełna hałasu i szaleństwa". To samo można powiedzieć o historii, niezależnie od tego, czy będziemy ten wyraz pisać małą czy dużą literą, gdyż od zarania czasów ludzkość pławi się w rzece krwi, pośród wrzasków, chichotu i szlochania.

Historia rozgrywa się na trzech nakładających się płaszczyznach: pierwsza - to płaszczyzna życia codziennego, to dziedzina polityki, relacji społecznych i tego wszystkiego, co stanowi praktyczny aspekt cywilizacji; drugą, znacznie wyższą jest płaszczyzna kultury, na której powstają, zwalczają się lub krzyżują się ze sobą idee spekulatywne albo twórcze; wreszcie najwyżej, w sferze

pozadoświadczalnej, znajduje się płaszczyzna duchowa, na której od czasu do czasu, nie wiadomo dlaczego ani jakim sposobem, ludzkość zwraca się ku Bogu lub się od Niego odwraca na jakiś czas nieokreślony. Tak na przykład od końca XIII wieku ludzkość, wzięta w swej całości, straciła z oczu Boga (lub ideę Boga), a skierowała wzrok na samą siebie wskutek nagłej zmiany kierunku kontemplacji, której skutki jeszcze trwają.

Te trzy płaszczyzny, które przedstawiliśmy w innym utworze (*La Baleine et le Ricin* ["Wieloryb i rycyna"], Fayard 1982), nie zbiegają się nigdy w czasie, poza bardzo rzadkimi wyjątkami (okres Peryklesa i rządy świętego Ludwika).

Na właściwej sobie płaszczyźnie codzienne życie zmienia się bardzo powoli: odkąd Egipcjanie zastosowali do budowy kamień zamiast cegły, przez wieki przycinali kamienie, nadając im kształt cegieł.

Na płaszczyźnie idei rozwój jest oczywiście o wiele szybszy. Idee decydują o kształcie polityki, uprzedzając ją często w sposób bardzo niebezpieczny. Kiedy rozdźwięk między ideami i polityką jest zbyt duży, wybucha rewolucja. I tak pod koniec XVIII wieku we Francji idee tak bardzo wyprzedziły teologię tronu i ołtarza, że monarchia, która daremnie usiłowała dopędzić ideę, musiała zginąć.

Wreszcie na tajemniczych wyżynach ducha nikt nie może powiedzieć, jak ani dlaczego z upływem tysiącleci rodzą się decyzje, które ukierunkowują całą ludzkość, powodując gwałtowaną zmianę jej kursu, tak iż nie zdaje sobie ona sprawy ze swej przemiany, podobnie jak "rój pszczoł unoszący się wśród pola". W ten sposób ludzkość zbliża się do Boga albo odwraca się do Niego plecami. I w tym tkwi cała tajemnica historii.

Jak na razie ludzkość oddala się od Boga w kierunku nicości z prędkością światła.

Sztuka?

Przypomnijmy tu cytowaną na początku tej książki definicję, którą sformułował profesor Bernard: "Człowiek to zwierzę zdolne do tworzenia". Ta jego twórcza zdolność ujawnia się w wielu dziedzinach, szczególnie jednak na polu sztuk plastycznych, obecnie wyzwolonych z wszelkiego konformizmu i spod różnego rodzaju nacisków przeszłości. Dzieło sztuki wyraża dzisiaj nieskrępowaną wolność artysty. Nie ma on do spłacenia żadnych długów wobec nikogo: ani względem Boga, ani wobec natury, ani na rzecz zwiedzającej galerii publiczności, która po długim i często bolesnym doświadczeniu zrozumiała wreszcie, że nie musi niczego rozumieć.

A jednak dzieło sztuki służy uwzniośleniu ducha albo nie służy niczemu, duch zaś domaga się zrozumiałości.

1. Podobnie jak przez stopniowe rozszerzanie sensu wyrazu "kultura" dochodzi się do oznaczenia nim byle czego, w tym również sposobu drapania się po uchu, mówi się o "sztukach plastycznych" w odniesieniu do wytworów, które nie należą ani do sztuki, ani do plastyki.

2. Według Leona Bloy sztuka to "pierwotny pasożyt skórny pierwszego węża". On sam był wielkim artystą, który usiłował dać nam do zrozumienia, że sztuka to fałszywy bożek, niezdolny dotrzymać swych obietnic. Wszystko bowiem, co on nam ofiaruje i co nas zachwyca, w końcu ginie samo, jeśli my sami tego wcześniej nie niszczymy.

3. Pierwszym błędem byłoby całkowite odrzucenie współczesnej sztuki jako krańcowego wyrazu nieodwracalnego rozkładu umysłów i obyczajów, a to dlatego, że zwłaszcza w dziedzinie

malarstwa unaocznia ona wiernie niepewność nauk co do pochodzenia, natury i czegoś, co można by nazwać uporządkowanymi kaprysami materii. Drugim błędem byłoby bezkrytyczne wpadanie w zachwyt nad "dziełami sztuki", które dużo zawdzięczają przypadkowi, trochę talentowi, a zgoła nic natchnieniu kontemplacyjnemu, dzięki któremu sztuka jest kłamstwem mówiącym prawdę.

Wydaje się, że współczesna sztuka jest w rzeczywistości nie sztuką dekadencją, lecz na odwrót, sztuką prymitywną, która łamie i rujnuje kształty oraz mąci kolory wizji przyszłego świata, gdyż nie ma o nim jeszcze najmniejszego pojęcia.

4. Renoir uważał "Koronczarkę" (La Dentelliere) za najpiękniejszy obraz świata i nie myślał przy tym jedynie o szczytnej technicznej zręczności Vermeera. W tym maleńkim obrazie spotykamy jakieś zagęszczenie drobiazgowej czułości, pełnej pokoju i równocześnie zatroskanej o najmniejszy szczegół, tak że nasuwa on na myśl słowa Ewangelii: "U was nawet włosy na głowie wszystkie są policzone" (Mt 10, 30).

I to się nazywa miłością. We współczesnej sztuce najbardziej dotkliwie widoczny jest właśnie brak miłości.

Religia?

Religia, związana z dziecięcym okresem istnienia ludzkości, była zarazem naiwnym środkiem służącym do wytłumaczenia i zjednania sobie tajemnych sił natury. Piorun był wyrazem gniewu tego lub innego boga, który można było załagodzić złożeniem ofiary i przebłagalnymi modłami. Postęp i odkrycie dokonywane przez ludzką inteligencję miały posmak "misteriów" religii, która za naszych dni schroniła się w kryjówce moralności i nie szuka przygód na terenie myśli abstrakcyjnej z obawy przed śmiesznością. Skończyło się władanie religii nad umysłem człowieka.

A jednak ludzka inteligencja nigdy się nie zadowoli odpowiedziami, jakie sama sobie daje. To, co ona dobrze zna, jest dla niej jeszcze bardziej tajemnicze niż to, co zna powierzchownie.

Trzeba skorygować jeden podstawowy błąd. Myśl religijna nie jest jakąś pośrednią namiastką myśli abstrakcyjnej lub naukowej. Wypływa ona z wnikliwego wycucia tajemnicy świata, która pozostaje doskonale niedostępna dla wszelkiego ludzkiego poznania. Stosunek myśli religijnej do wszechświata ma w sobie coś z intuicji poetyckiej i przeciwstawianie jej naukom przyrodniczym ma mniej więcej taką wartość, jak polemika biegłych księgowych z Claude'em.

Proszę mi wybaczyć, że się powtarzam: wiara jest czymś, co pozwala ludzkiej inteligencji egzystować powyżej swoich własnych możliwości.

Tak więc religia nie ma żadnych powodów, aby się bać postępu ludzkiego poznania. Jedynym zagrażającym religii niebezpieczeństwem jest powątpiewanie o samej sobie.

Osoba?

Osobą nazywamy jednostkę z wrodzonym darem świadomości dobra i zła, dzięki czemu jest ona zdolna do życia moralnego, społecznego i politycznego, co stanowi właściwość wszystkich ludzi. Przez długie wieki osoba była nie zauważana lub pogardzana w społeczeństwach uznających niewolnictwo, mimo że były wysoko ucywilizowane, jak społeczeństwo greckie albo, całkiem jeszcze niedawno - w systemach arystokratycznych, w których różnice między klasami były niemal takie, jak w świecie zwierząt - od lwa do szczura - niczym w bajkach Lafontaine'a.

Po wprowadzeniu demokracji, uświęconych po ostatniej wojnie światowej powszechnym ogłoszeniem praw człowieka, każdy obywatel (lub obywatelka), niezależnie od pochodzenia i sytuacji, jest osobą chronioną przez prawo i przez instytucje.

A jednak w świecie polityki rzadko kiedy fakty pokrywają się z tekstami uchwał.

Ze względu na to, że osoba jest zdolna do oceny dobra i zła w sposób obiektywny, to znaczy niezależny od swej korzyści, jest ona z natury wrogiem wszelkich systemów politycznych i tak też jest przez nie traktowana. Systemy totalitarne unicestwiają osobę wszelkimi sposobami, odbierając jej głos, zmuszając ją do decyzji przeciwnych sumieniu i w miarę możliwości poniżając ją przez wciąganie do oficjalnej propagandy kłamstwa, wskutek czego osoba nabiera takiego wstrętu do samej siebie, że staje się nawet niezdolna do sprzeciwu. Reżim leninowsko-stalinowski, jeśli wolno tak to ująć, do tego stopnia wydziedziczył osoby, że dzisiaj z ogromnym trudem odzyskują one panowanie nad sobą.

Systemy liberalne, które nie uznają innych praw poza prawami rynkowymi, działają mniej brutalnie, ale i one nie darzą osób większą sympatią niż dyktatury i nie proponują im nic innego, jak tylko alternatywę sukcesu. W tej jednak perspektywie osoby są narażone na ryzyko utraty ducha wskutek udziału w anonimowym systemie panowania, który niepostrzeżenie miazdzy najłabszych, albo przez podporządkowanie ich systemowi, który zapewnia im jak najskromniejsze warunki bytu i spycha ich nadzieję w sferę marzeń.

Osoba i władza będą wiecznymi przeciwnikami, gdyż osoba może powiedzieć "nie", którego władza bardzo nie lubi. A ponadto osoba należy do Boga, który nie jest przyjacielem Cezara.

"Życie po życiu"?

Od jakiegoś czasu wiele osób, które wskutek choroby, operacji lub wypadku znalazły się w stanie śpiączki, opowiada, że nagle ujrzały wokół siebie przyjemne i olśniewające światło, napełniające je pokojem i radością. Doznanie to pozostawia je pod tym wrażeniem jeszcze długo po powrocie do życia. Owe doświadczenia zgodnie świadczą o istnieniu jakiegoś życia po śmierci oraz przynoszą pewne potwierdzenie bliskich im przeżyć mistycznych, co jest tym ciekawsze, że nie ma nic wspólnego z religią. Wydaje się więc, że otwiera się przed człowiekiem jakaś naturalna nadzieja, niezależna od wszelkiej moralności i od życia duchowego.

A jednak śmierć to nie jest rodzaj wycieczki.

Nie byłoby w porządku podważanie świadectw, formułowanych niemal w tych samych słowach przez osoby o niewątpliwej wiarygodności. Zanim jednak te przypadki "przeżycia", lub raczej "wyrwania się ze śmierci", zostaną w pełni wyjaśnione, trzeba tu stwierdzić, że światło, o którym mówią uczestnicy tego doświadczenia, nie ma żadnego związku ze światłem przeżyć mistycznych. Ono bowiem nie polega jedynie na odczuciu przyjemności i słodyczy. Jest to światło pouczające, pełne treści; stanowi ono takie zagęszczenie prawd duchowych, że z powodu swej intensywności staje się prawie niemożliwe do przyjęcia. Ta istotna cecha nie występuje w opowiadaniach o "życiu po śmierci". Z tego też powodu winniśmy je przyjmować z sympatią, nie pozbawioną jednak pewnej rezerwy.

Praca?

"W pocie oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie", mówi Biblia (Rdz 3, 19). Praca jest przekleństwem wywołanym przez grzech pierworodny. Od początku wyższe klasy społeczne

spychały z siebie jego ciężar na jednostki z klas niższych, na niewolników, służących, wieśniaków, siłę najemną i robotników. Szlachetnie urodzeni uważali za punkt honoru, aby nie imać się żadnych prac, z wyjątkiem wojaczki, która miała co nieco wspólnego z powołaniem kapłańskim lub ofiarniczym, a to z racji stosowania namiastki uboju rytualnego. Jeśli chodzi o stan posiadaczy, to zatrudniali oni, i zawsze zatrudniają, bardziej swoje pieniądze niż swoją osobę. Krótko mówiąc - praca była zawsze traktowana jako działalność podrzędna, brudna i niosąca ryzyko niemoralności. W okresie prześladowań stosowanych przez Komunę Paryską pokazywanie plutonowi strzelców rąk stwardniałych od pracy mogło być niebezpieczne. Nierzadko i zajęciom umysłowym nie udawało się uniknąć tej samej oceny. W epoce ancien regime'u niewskazane było pisanie czegoś innego niż ultimatum lub listy miłosne, gdyż nie widziano żadnej różnicy między pisarzem, który stara się pozyskać czytelników, a prostytutką wabiącą klienta.

A jednak człowiek wierzący ma pewność, że przez pracę bierze udział w stwórczym dziele Boga, niewierzący zaś - iż pracując osiąga się panowanie nad przyrodą.

Pogarda dla ludzi prostych osiągnęła swój punkt szczytowy nie w czasach ancien regime'u, ale prawdopodobnie w XIX wieku w epoce chamstwa (powstaje na przykład pytanie, w jaki to sposób romantyzm, ten rodzaj jakiejś kawalkady nosorożców na brzuchu Piękna, mógł zdobyć reputację szkoły uczuć). Żyjący w owej epoce właściciel, który nie potrzebował kupować swego robotnika, jak niegdyś Rzymianin nabywał na własność niewolników, traktował go gorzej od swoich koni, których nie zdobywał za bezcen. Później robotnik zaczyna być nieco wyżej ceniony, a zwłaszcza bardziej otaczany opieką, ale dzieje się tak nie wskutek spontanicznego postępu moralności, lecz z powodu straszliwego przerażenia, jakie w uprzemysłowionym świecie wywoływało echo rewolucji rosyjskiej. Jeśli chodzi o samą pracę, to niewiele brakowało, aby zdobyła sobie etykietkę narodowej niegodziwości, ponieważ dostrzeżono ją obok rodziny i ojczyzny wśród wartości teoretycznie podstawowych w programie rządu z Vichy. Praca wygrała w końcu swoją sprawę. Przyznaje się teraz, kiedy bezrobocie się rozszerza i gdy robotnik jest łatwo zastępowany przez komputer, że praca nie tylko pozwala dorzucić coś do Stworzenia, jak myślą wierzący i niewierzący. Praca bezsprzecznie jest jednym z podstawowych warunków zwyczajnego szczęśliwego życia.

Cierpienie?

Na temat religijnych uzasadnień buntu i przerażenia była już mowa w książce "Bóg i ludzkie pytania". Tutaj, gdy szukamy wyjaśnień rozumowych, nie można uciekać się do interwencji urojonego Bytu, którego nikt nigdy nie widział i który nie objawia się w żaden dostrzegalny sposób. Co więcej - to, co religia mówi o dobroci Boga, stoi w zasadniczej sprzeczności z obserwowanym przez nas ludzkim nieszczęściem. Jedynym możliwym do przyjęcia wytłumaczeniem cierpienia jest to, jakie proponuje Teilhard de Chardin pod koniec swej książki "Fenomen ludzki" (Le Phenomene humain). Sprawa jest tam załatwiona w czterech wierszach: cierpienia i dolegliwości są odpadkami, są nieuniknionym żużlem, pozostałym ze świata w stadium jego dążenia do wyższej formy egzystencji.

A jednak ciężar jednej jedynej łzy dziecka wystarczy, aby zablokować mechanizm wstępującego rozwoju, jaki głosi ojciec Teilhard de Chardin.

1. W teoriach wspomnianego myśliciela nie ma nawet atomu duchowości. Żaden człowiek o współczującym sercu nigdy nie zgodzi się na to, aby krzyż i gwoździe Chrystusa wyrzucić na składowisko odpadków i złomu, powstałego przy działaniu martwej maszynierii transformacji.

2. Zło i ból doprowadzają wielu ludzi do negacji istnienia Boga. W ich odczuciu minione, obecne i przyszłe cierpienia są nieustającym krzykiem, który rozlega się w ciszy wszechświata na próżno.

3. Nie takie to pewne, że rozum jest skazany na nieprzydatność, tak jak się przypuszcza. Powiedziano nam na początku tego artykułu, że rozum nie może zaakceptować wyjaśnień wiary. Ale też wiara nie daje wyjaśnień! Jest ona wzajemnym darem: Boga, od którego pochodzi wszelka miłość, oraz osoby, która Mu powierza swoje istnienie, czyniąc najlepszy, na jaki ją stać, użytek ze swej wolności. Wiara nie podejmuje się wyjaśnienia tajemnic świata i nie domaga się uzasadniania miłości.

Z przykrością przyjmuje się zaprzeczenie racjonalizmu w punkcie, w którym jest on przeświadczony o swojej przewadze. Gdyby Bóg był ludzkim wymysłem (a przecież nim nie jest), wymysł ten nie byłby dziełem wiary, lecz rozumu. Bo to rozum nie może dopuścić, aby nieporządek i niesprawiedliwość tkwiące w cierpieniu pozostały na zawsze nie naprawione. Motywy, które skłaniają racjonalizm do odrzucenia Boga, są dokładnie takie same jak te, które dowodzą Jego konieczności.

Sprawiedliwość?

Będziemy tu mówić tylko o sprawiedliwości na co dzień, czyli o tej, z jaką się spotykamy w warunkach powszednich, aczkolwiek nie bez pewnego niepokoju. Stwierdzamy bowiem, że ludzie domagają się sprawiedliwości na każdym kroku, nie doznają jej jednak nigdzie. Zauważa się najpierw, że w naszych systemach demokratycznych istnieją dwa sposoby funkcjonowania sądów, z których pierwszy nie jest wcale lepszy od drugiego.

Sposób anglo-saksoński polega na tym, że osądza się fakty, nie wnikając zgoła w psychikę oskarżonego. Ten zaś nie ma co liczyć na żadną pobłażliwość poubieranych w peruki sędziów, których strój świadczy dobitnie, że mamy tu do czynienia nie z istotami ludzkimi, lecz z instytucją reprezentowaną przez osoby-posągi, nie znającą litości ani przebaczenia. Odnosi się do niej zdanie Bernanosa: "Sprawiedliwość bez miłosierdzia - to drapieżne zwierzę".

Sposób francuski, bardziej teologiczny, odznacza się tym, że tak wnikliwie bada się mordercę, iż w końcu zbyt jest myśl o ofierze, która zresztą i tak przypuszczalnie jest w raju. Chodzi o to, aby dociec, czy oskarżony jest winien w sposób absolutny, czy chciał on popełnić zło dla samego zła, czy w krańcowym przypadku zasługuje na karę piekła, czy też wystarczy posłać go na pewien czas do czyśćca, aby się poprawił. Sprawiedliwość francuska osądza dusze, i dlatego sędziowie ubierają się w strój przywodzący skojarzenie z sutanną. Jednakże nie osądza ich ona łagodniej niż sprawiedliwość w wydaniu anglo-saksońskim, która ma na swym koncie wielu powieszonych wskutek zaniechania wglądu w sumienie.

Lista błędów popełnionych przez ludzką sprawiedliwość jest tak długa, że gdy się staje przed jej obliczem, człowiek niewinny ma więcej powodów do lęku niż zbrodniarz.

A jednak ludzie wierzą w sprawiedliwość, zwłaszcza wtedy, gdy można mieć wątpliwości co do sędziów.

O tym, że ludzka sprawiedliwość jest omylna, wiemy aż nadto dobrze. Zdarza się jej popełnić pomyłkę dwa razy pod rząd i naprawiać zło niegodziwością. Przykładem tego jest skazanie Dreyfusa: pierwszy raz na podstawie fałszywego oskarżenia, drugi raz po to, aby nie podważyć "prawomocności" pierwszego wyroku. Nie na tym jednak polega główny defekt ludzkiej sprawiedliwości. Nie możemy zbyt wytykać jej wad, których skutkiem są nie tylko ofiary. Ale trzeba stwierdzić, że wkracza ona do akcji zawsze zbyt późno, to znaczy kiedy domniemanego winowajcę zdążyły już zdeprawować szkodliwe powiązania lub nawyki, od których już żadna resocjalizacja go nie wyzwoli. (Republika wskutek swojego strachu przed religią nieufnie się

odnosi nawet do moralności. Chcąc przekazać swym dzieciom naukę o życiu, woli im dawać do czytania wybrane teksty Preverta zamiast pism świętego Augustyna, czy też Borysa Viana, który wydaje się górować nad Pascalem). Przyjmując oskarżonego w oplakany stan, w którym pograżył się przez lata przestępstw i zatruwania jego umysłu, sprawiedliwość może go jedynie skazać, nie dysponując środkami ku temu, aby go podźwignąć, pomóc mu, ani tym mniej - aby go rozgrzeszyć. Nie jest to wina sprawiedliwości. Nie może ona działać inaczej, jak tylko wymierzając karę za zło popełnione przez jednostkę, której nigdy nie uświadomiono, gdzie szukać dobra. To nie sprawiedliwość domaga się reformy. To system, który oddaje w jej ręce klientów.

Ekologia?

Bojownicy ochrony środowiska pierwsi podnieśli alarm przeciw krytycznemu stanowi naturalnej równowagi na naszej planecie, jaki wywołują nadużycia uprzemysłowienia, różne formy skażenia rzek i oceanów, uszkodzenia urządzeń nuklearnych (proponuje się je zastąpić energią słońca i wiatru) itp. Niezmordowani obrońcy czystości otoczenia zalecają powrót do życia zdrowszego, prostszego, bardziej wspólnotowego, a ich ideał, będący nieco ideałem "dobrego dzikusa", niezaprzeczalnie pociąga młodzież. Ich wpływ ciągle wzrasta, i to w takim stopniu, że partie polityczne muszą szukać ich poparcia. To pewne, że przyszłość należy do nich, jeśli "efekt cieplarniany" nie uczyni Ziemi niezamieszkałą, jeśli Antarktyda nagle się nie roztopi, jeśli dziura ozonowa nie powiększy się do rozmiarów, które zakończą całą dyskusję. To trzy niebezpieczeństwa, na temat których ekolodzy są szczególnie wyczuleni.

A jednak ekologia jest nauką - jeśli nie ścisłą, to przynajmniej surową - natomiast ekolodzy-amatorzy mają się do tej nauki tak jak znachor do lekarza.

Najlepszą z definicji ekologizmu przekazał nam Raymond Loichot, parodiując sławne powiedzenie Lenina: "Ekologia to socjalizm minus elektryfikacja".

Mimo wszystko jednak trzeba uznać zasługi tego ruchu, którego przyszłość zapowiada się jako dziwnie wsteczna. Najpierw zmusił on władze publiczne do większej troski o ochronę przyrody (którą woli się obecnie nazywać "środowiskiem", podobnie jak chętniej się mówi o "obszarze zielonym" zamiast mówić o ogrodzie), jak też do większej ostrożności w podejściu do energii nuklearnej.

Przez przypadek jednak ten sam ruch sprawił, że partie polityczne stały się trochę bardziej śmieszne, niż można to zazwyczaj obserwować. W obawie o swój ponowny wybór politycy czują się w obowiązku oświadczać, że są przynajmniej równie zieloni, co i członkowie Partii Zielonych, że mają ręce zielone i serce zielone, że są dobrze znani z mieszania w polityce grochu z kapustą, że budzą się co rano z duszą pełną maków, motyli i krowiego nawozu.

W ruchu ekologicznym tkwi jedna wielka prawda: Ziemia jest drogocennym dobrem, jeszcze nie w pełni zdobytym, a staranie o to dobro nigdy nie będzie zbyt duże. Wielkim błędem natomiast jest przekonanie, że wiara w ruch ekologiczny pozwoli rozwiązać problemy, które podobnie jak wszystko inne, należą do dziedziny moralności i miłości bliźniego.

Moje "JA" - "MOI"?

"Moje JA zasługuje na pogardę" - mówił Pascal. Ale ten wielki człowiek był jansenistą i upatrywał w ludzkiej istocie stworzenie upadłe, do głębi zepsute i niezdolne do najmniejszego dobra bez pomocy łaski, którą zresztą łatwiej jest stracić niż otrzymać. Upokarzająca nauka o grzechu pierwotnym dostarczała wymówek wszelkim formom despotyzmu, a Kościołowi,

wyposażonemu we władzę rozgrzeszania, dawała do rąk środek zniewalania dusz. Ludzie długo cierpieli wskutek tej fałszywej metafizyki, opartej na przeświadczeniu, że człowiek został stworzony w stanie absolutnej doskonałości, której dobrodziejstwo utracił, przeciwstawiając swoją wolę woli Boga: był to upadek, z którego nie potrafi się podnieść. Z tej katastroficznej przesłanki wynikało, że "moje JA", siedziba mojej własnej woli, jest najgorszym wrogiem człowieka.

Już dawno wyzwoliliśmy się z tych bzdur, których nawet sam Kościół nie ma już więcej odwagi głosić, ale stosuje nieskończone uniki oratorskie. Od czasów Pascala zapomniano, że los, historia, czy też, jeśli wolimy, ludzka przygoda, biegła po wznoszącej się i nieprzerwanej trajektorii od pierwotniaka do College de France (Uniwersytetu Paryskiego). Obecnie "JA" jest słusznie uważane za nienaruszalne siedlisko osobistej tożsamości, za niezbędną twierdzę indywidualnego sumienia i woli. Z tego podwójnego tytułu jest ono godne szacunku, a nawet czci.

A jednak nie można się tak łatwo pozbyć Pascala.

"JA" wypowiedziane w naszym języku - "MOI" - jest rzeczywiście zbudowane jak jakaś forteca. Duża litera "M" wyobraża szaniec odgradzający od świata zewnętrznego, przy czym otwór strzelniczy między wewnętrznymi filarami pozwala nadzorować otoczenie. Obwód litery "O" stanowi granicę wieży obronnej, wyznacza zamkniętą przestrzeń osobistej tożsamości, skupioną na samej sobie i wolną od jakiegokolwiek wejścia, przez które mógłby wtargnąć do wnętrza bliźni, to jest nieprzyjaciel. Gdy chodzi o "I", jest ono masztem, na który każdy może wciągnąć swój sztandar.

W tych warunkach jasną jest rzeczą, że "JA" - "MOI" nie może pozwolić na wyłom w swoim murze i na wtargnięcie kogoś obcego, że z natury swojej buntuje się ono przeciw jakimkolwiek działaniom, które mogłyby doprowadzić do podziału władzy, jaką "JA" ma wobec siebie samego, względnie do jej całkowitej utraty. Jasne jest również, że "JA" jest niezdolne do miłości, chyba że zrezygnuje z samego siebie. To zaś czyni jedynie wówczas, gdy "traci głowę"; przypadek to dość rzadki i zadziwiający dla samego "JA".

Wszystko to sprawia, że "JA" zasługuje na pogardę i że Pascal się nie myli.

Prawdziwa miłość?

Miłość - to życiowy rozmach, który pociąga jedne byty ku drugim, także te najniższe. Jest więc miłość prawdziwa z natury, od momentu, w którym się ją wyznaje. Błędem byłoby sądzić, że ma ona w sobie coś z wieczności, jest bowiem ulotna: znika w momencie zaspokożenia, a trwanie szybko powoduje jej schyłek. Ponieważ jednak należy ona do podstawowych popędów natury, nasza niewiedza na temat jej biochemicznych uwarunkowań powoduje, iż wydaje nam się dość tajemnicza. Jednakże stopniowo miłość traci swoje sekrety i wkrótce pewno potrafimy ją umiejscowić w organizmie. Już przecież udało się wydzielić i zniszczyć hormon miłości macierzyńskiej u myszy.

A jednak młoda myszka nadal poszukuje swej matki, kiedy pech sprawił, że urodziła się w laboratorium.

Karol Marks, wyborny kpiarz, mówi nam w swym "Kapitale", że miłość i pieniądze to dwie rzeczy, które najczęściej doprowadzają ludzi do szaleństwa. Święta prawda, z tym tylko, że od pewnego czasu ludzie nieco mniej szaleją z miłości, a to dlatego, że nadużycia w tej dziedzinie niemal zupełnie pozbawiły ten wyraz jego treści.

Wbrew temu, co sugeruje praktyka intensywnego współżycia płciowego (kiedyś odbywało się ono po zawarciu małżeństwa, wkrótce wyprzedzi okres dojrzałości), miłość ma pochodzenie boskie i duchowe. Zaczyna się od podziwu i przedłuża się przez dar z samego siebie, który oczekuje, ale nie żąda wzajemności. Jest czystą wspaniałomyślnością, a jednostką jej miary jest Absolut. Rozwija się pośród wyrzeczeń, wzrasta w cierpieniu, a tych, którzy się miłują, wiedzie powoli, lecz bezpiecznie, od istnienia do samej istoty ich bytu i wprowadza w doczesne życie doświadczenie wieczności.

Uczucie to pochodzi z innego świata i do niego wraca, podczas gdy wszystko inne zamieni się w proch, razem z tymi, którzy miłością pogardzą.

Spis treści

Słowo wstępne

Kim jest człowiek?

Małpa?

Czy jesteśmy niewiele warci?

Skąd pochodzimy?

Czy człowiek jest dobry?

Materia i duch?

Człowiek prehistoryczny?

Dlaczego istnieje zło na ziemi?

Miłość fizyczna?

Seks?

Czy AIDS jest karą niebios?

Prezerwatywy w szkole?

Antykoncepcja w młodym wieku?

Homoseksualizm?

Kim jest kobieta?

Sztuka i kobiety?

Przysięga małżeńska?

Wyzwolenie kobiety?

Dlaczego kobiety interesują się księżniczkami?

Czy piękno jest przymiotem kobiet?

Uśmiech?

Postęp?

Prawo do różnic, czy do podobieństwa?

Grzech?

Ingerencja humanitarna?

Obraz?

Moralność?

Przeludnienie?

Odmowa pełnienia służby wojskowej?

Myślę, więc jestem?

Co to jest wolna wola?

Dlaczego?

Czy trzeba szanować starców?

Przywileje wynikające z wieku?

Maj 1968?

Czy utopie są konieczne?

Czy Karol Marks umarł?

Co to jest demokracja?

Demokracja czy republika?

Liberalizm czy socjalizm?

Jaki jest najlepszy system polityczny?

Rewolucje?

Czy teokracja jest dobrym systemem rządzenia?

Kara śmierci

Sekty?

Bóg?

Nasze ograniczenia?

Rodzina?

"Bioetyka"?

Papież i my?

Narkotyki?

Historia?

Sztuka?

Religia?

Osoba?

"Życie po życiu"?

Praca?

Cierpienie?

Sprawiedliwość?

Ekologia?

Moje "Ja" - "Moi"?

Prawdziwa miłość?

KONIEC